

Edward Barszcz, b. prezydent Krakowa, b. minister
w liście pożegnalnym: „Złamali mnie psychicznie...”

W numerze wstrząsający reportaż Edmunda Żurka

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36251

Kamena

NR 21 (814)

7 - 20 października 1984

CENA 10 ZŁ

O szansach utraconych i szansach nieurojonych

Andrzej Burda

HISTORIOZOFIA materializmu dialektycznego polega przede wszystkim na tym, że na rozwój zjawisk społecznych należy patrzeć z punktu widzenia procesu, tj. powstawania, przemijania i zaniku. Tę myśl Hegla przejął i rozwinął socjalizm naukowy; sens tej formuły zwięźle wyluszczył J. Plechanow, wybitny marksista rosyjski stwierdzając, że „człowiek jest obdarzony świadomością, stawia sobie określone cele działania, lecz nie wynika stąd, iż historia rozwija się zgodnie z ludzkimi chęciami. W skutkach każdego działania ludzkiego jest coś nieprzewidzianego i to właśnie często powoduje (właściwie prawie zawsze) to, co stanowi najistotniejszy dorobek historii” (Plechanow: „Wybór pism filozoficznych”, KiW 1951, s. 28). Hegel powtarzał sentencję, że „sowa Minerwy wylatuje o

Dokończenie na str. 5



Niemiecka Republika Demokratyczna, nasz zachodni sąsiad i przyjaciel, obchodzi właśnie 35 rocznicę istnienia. Prezentowane powyżej zdjęcie przedstawia centrum stolicy NRD — Berlina (fot. Link, ADN). W numerze prezentujemy z okazji jubileuszu wiersze młodych poetów NRD-owskich oraz prozę Christy Wolf, a także wywiad z tą znakomitą pisarką.

Wyróżnienie w konkursie „Kamena” na reportaż

Idź zawsze prostą drogą, synu...

Edmund Żurek

PONAD trzy lata temu popełnił samobójstwo były prezydent miasta Krakowa, były minister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, Edward Barszcz. Pozostawił dwa listy: do najbliższej rodziny i do Kazimierza Barcikowskiego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, zapewniał w nich, że jest niewinny i odchodzi zaszczyty przez dziennikarzy i kilku „towarzyszy”. Dwa dni wcześniej popełnił samobójstwo Jerzy Olszewski, były minister Przemysłu Chemicznego.

Barszcz zmarł w poniedziałek, 25 maja 1981 r. Godzinę przed śmiercią napisał: *Wykańczanie trwało ponad pół roku, złamali mnie psychicznie. Wiem, że robię Wam wielką krzywdę, błagam i proszę o wybaczenie. Zachowajcie w pamięci to, co potrafiłem robić dobrze, zachowajcie moje lepsze uczynki. Przebaczenie błędów, słabości, zła, które Wam wyrządziłem, poświęcając gros czasu i siebie dla Polski i partii, bo wierzyłem, że robię dobrze. Nie mogę znieść dalszego opluwania i hańbienia siebie, dzieci, żony i rodziny. Wydaje mi się, że ofiarą krwi zmyję część tego plucia,*

które nam w Krakowie zgotowano za to, że tak dla tego miasta kosztem Was pracowałem...

W sobotę, 30 maja 1981 r., w słoneczne popołudnie, Jan Nowak, wiceprezydent Krakowa, zęgnął na ementarzu Rakowickim tragicznie zmarłego:

— Kiedy rok temu powołano Ciebie na stanowisko ministra, opuściłeś Kraków z nadzieją, że będziesz mógł kontynuować pracę w wybranym przez siebie zawodzie dla dobra kraju. Dzisiaj, po upływie roku, stoimy przed

Twoją mogiłą przejęci głębokim żalem. Nie potrafiliśmy Tobie pomóc i uchronić przed niesprawiedliwością i bezwzględnością niektórych ludzi. Całe swoje dojrzałe życie poświęciłeś Krakowowi. Zapewniamy Ciebie, Edwardzie, że zrobimy wszystko, aby pamięć o Tobie była rzetelna i trwałą...

Maj 1984. Po raz trzeci złożyłem kwiaty na grobie Edwarda Barszcza.

Ciąg dalszy na str. 8, 9, 10

26 IX. Czasami miesiącami siedzi się w Lublinie: za biurkiem w redakcji, za biurkiem w domu, ogląda te same twarze, uczestniczy w dyskusjach, w których z góry wiadomo, co kto powie, bo zabierających głos zna się na wylot. Czasami jednak, choć rzadko...

Właśnie! Tydzień między siedemnastym a dwudziestym trzecim września spędziłem na północy Polski. Bydgoszcz, Charzykowy, Pila, Suwałki, Wigry — oto trasa mej podróży, bynajmniej nie turystycznej.

Do Bydgoszczy zaproszono mnie na Ogólnopolskie Dni Literatury, które zorganizowali: tamtejszy zarząd oddziału ZLP, Urząd Wojewódzki oraz Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne.

Najpierw była sesja naukowa. Prof. dr Jan Kuronowski mówił (oceniając delikatnie: kontrowersyjnie!) o roli świadomości historyczno-kulturalnej w społecznej percepcji literatury. Kazimierz Koźniowski o zryskach i zakrętach ruchu literackiego w 40-lecie. Feliks Fornalczyk o obrazie Polski we współczesnej literaturze regionalnej, a prof. dr Witold Nawrocki o jutrze literatury polskiej. Tak przynajmniej referaty prezentował program. Nie trzeba być znawcą zagadnienia, by zorientować się, że każdy z tych referatów mógłby stanowić wprowadzenie do osobnej sesji. Može dlatego dyskusja była bardzo anemiczna, aczkolwiek nie zabrakło w niej ciekawego głosu wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego, który na kilka godzin przybył do Bydgoszczy.

Na wieczór przewidziano spotkanie uczestników Dni Literatury z władzami województwa. Najwyższe władze jednak na spotkanie nie przybyły, mimo że każdy z gości otrzymał specjalnie wydrukowane zaproszenie. Czuliśmy się tak, jak można się czuć na imieninach — bez obecności samego solenizanta, aczkolwiek — trzeba uczciwie powiedzieć — organizatorzy towarzyskiego, że się tak wyrażę, spotkania starali się, abyśmy z Salii Malinowej hotelu Orbisu „Pod Orłem” wyszli w pełni ukontentowani. Musieli być i ukontentowani sami kelnerzy, jako że sporo jadła pozostało. Ostatecznie było to głównie spotkanie samych gości, to znaczy jeden gość spotykał się z drugim gościem, tworzyły się grupy i grupki, gadano, dowcipkowano, sprzeczano się, a czasami przypominano wzajemnie po latach. Ja na przykład po 35 latach zetknąłem się z Adamem Kaską, dziś kierownikiem Redakcji Literackiej Wydawnictwa MON, który pościwał wprawdzie i wyszlachetniał, ale humor dopisuje mu nadal.

Następny dzień to wyjazd nad Jezioro Charzykowskie, gdzie ulokowano nas w (zamysznym!) ośrodku czasowym budowlanców w Funkach. Tutaj o strukturze życia literackiego w Polsce (sytuacja i prognozy) mówił Krzysztof Gąsiorowski, prezes warszawskiego oddziału ZLP. Jak wynika z przytoczonych przez prezesa danych, oddział lubelski ZLP trzyma się mocno i pod względem liczebności członków znajduje się na siódmym miejscu w kraju.

Wieczorem odbyło się kolejne spotkanie z władzami Chojnic i Charzykowskiej, tu już z udziałem reprezentacji najwyższego szczebla, przygrywała kapela kaszubska, były śpiewki i przysięwki, a potem ognisko.

Oczywiście zorganizowano również wiele spotkań autorskich w bibliotekach i szkołach. Jedne udaly się lepiej, inne gorzej. Normalnie.

Co było trzeciego dnia, dokładnie nie wiem, bo pomknąłem do Pily, gdzie wiele godzin dyskutowałem z redaktorem naczelnym „Tygodnika Piłskiego”, Janem Arskim. Pila jest pięknym miastem powstałym na gruzach. Można tu nabyć czerwoną paprykę po 130 zł za kilogram. W Pile ona jest, w Lublinie — nie ma. Pila leży jednak bardziej na północ, widocznie łatwiej tam dowieźć transport z południa. Ale chyba za to w Lublinie powinno być więcej konserw rybnych polskiej produkcji. Marzenie!

W Pile spałem w gościu u pięknej nazwie „Rębajto”. Łóżko w dwuosobowym pokoju kosztuje tu 280 złotych (a zobaczmy, ile w „Trzech Dębach” pod Chelmem!). Agent, sympatyczny pan Waldek, twierdzi, że gości będą jego motel wspominać cho-

ciażby z tego względu, iż jest tani. To znaczy nocleg jest tan! Przed spaniem trzeba coś zjeść i ewentualnie wypić... Wybór trunków tu bodaj obfitszy niż w „Forum”, ale dieta starczy zaledwie na 75 g czystej. Kto jednak na delegacji raczy się trunkami? Z takich klientów p. Waldek by nie wyżył!

Jeszcze kilka słów o Suwałkach, a właściwie Wigrach, gdzie na terenie przyklasztornym odbywały się II Konfrontacje Pism Regionalnych. Spaliśmy w siedemnastu eremach pustelniczych (!), odbudowanych ze zniszczeń wojennych po 1958 r. i obecnie użytkowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Scisłej: jest tu ośrodek wypoczynkowy. Z okna widzieliśmy jezioro. Bardzo tu ładnie, choć w eremach niechlujstwo aż piszczy. Brak zarówno, brak krzesel, poniszczony kontakt, a łóżka to chyba ocalały z dawnych czasów i spali na nich pustelnicy. Przyszedłby się jednak odpowiednia informacja, aby przybycie w tym względzie nie mieli żadnych wątpliwości!

I tu były dyskusje, a także referaty, wystąpienia, przemówienia. Gościłiśmy i Bogdana Jachacza, miłościwie szefującego w Wydziale Prasy (i.d.) KC, i Zdzisława Andruszkiewicza, prezującego naszej kochanej RSW, pytaliśmy ich, oni nas, pobliska woda z jeziora łagodziła obyczaj. Z Katowic przybył dr Józef Madry, a z Ostrołki Juliusz Foss, redaktor naczelnny „Tygodnika Ostrołęckiego”. Tenże Foss przywiózł fikuśnię zmontowaną wystawę z wycinkami ze swego pisma. Czego innego nie przywoził, bo można to było dostać na miejscu.

Kulminacyjnym punktem Konfrontacji stało się przyznanie Laury Wigierskiej dla najlepszego tygodnika partyjnego. Regionalnego, oczywiście. To pismo, które uczestniczyło w konkursie, wpłaciło pięć tysięcy złotych. Przedstawiciel każdego pisma głosował: miał do dyspozycji 10 punktów. Jury miało zaś punktów 24. Ostatecznie pierwsze miejsce zajęły łomżyńskie „Kontakty”, zagarniając 105 tysięcy złotych. Mimo tego, że jury przyznało aż 9 punktów słupskim „Zbliżeniom”, a „Kontaktom” tylko 3!

Prezes ZG RSW wręczył swoją nagrodę, a właściwie nagrodę Firmy „Tygodnikowi Radomskiemu”. Ile? 50 tysięcy zeteł.

A co z prasą naszego regionu? Przyjechał tylko przedstawiciel „Tygodnika Chełmskiego” (który też kilka punktów otrzymał). Nie było nikogo ani ze „Słowa Podlasia”, ani z „Tygodnika Zamojskiego”. A o Tazda Winiarczyka ze „Słowa” pytano, a jakże! Pamiętajmo go dobrze z czasów I Konfrontacji w ub. r. Naczelnny nie puścił!

Niżej podpisany to jedyny przedstawiciel prasy społeczno-kulturalnej. Nie tylko zresztą regionalnej. (A, pardon — był ktoś z „Ekranu”). Zaproszono wprawdzie wiele pism tego typu, ale ich redaktorzy zbrojkowali jednak imprezę. Nawet Olek Rowiński z „Nadodrza”, który w poprzednich Konfrontacjach raczej długo nie sy-pia!

Obrazy obradami, ale najważniejsze są prywatne spotkania, wzajemna wymiana doświadczeń. Paradoxem jest, że tygodniki, o których mowa, nie wymieniają między sobą swoich tytułów! Ponoć brak funduszy. Robimy czasem takie oszczędności, z których można śmiać się do rozpuku.

Suwalscy gospodarze chcą, by następne Konfrontacje odbyły się już gdzie indziej. Słusznie. Najmilszy, gość też się może znużyć. A swoją drogą organizatorzy z nich znakomici! Motorem jest zapewne Eugeniusz Kurzawa, który i samemu Bogdanowi Jachaczowi kilkakrotnie przerwać potrafił, a na lamach ostatnich „Krajobrazów” solidnie przygadził organizatorom młodzieżowym ze swego terenu. Oj, chyba nie tylko ze swego! Napisz coś, chłopie, i do „Kameny”!

M. A. Jaworski

PS. W poprzednim notatniku napisałem, że gdyby nie ogłoszenia, to zarówno „Sztandar Ludu” jak i „Kurier Lubelski” byłyby pismami deficytowymi. Strasznie obruszył się na to sekretarz redakcji „Sztandaru”, Janusz Malinowski, który zadowolony do mnie i oświadczył, że leni się do pisania, dlatego nie odpowiada na lamach, ale mówi. Tak więc „Sztandar” w pierwszym półroczu przyniósł taki to i taki dochód (nie piszę, jaki, bo może tajemnica służbowa), a z tego dochodu 80 proc. przypada na ogłoszenia. Cytuję pozostałe 20 proc. dochodu wypracował sam zespół. Proszę więc i przeproszać. A swoją drogą nie ma powodu, by wstydić się wpływów z ogłoszeń! Na Zachodzie pisma właśnie z ogłoszeń żyją!

Nie tylko linie papilarnie...

Waldemar Piasecki

— Widział pan gniazdo szerszeni?

— Nie.

— To proszę zobaczyć — potężnie zbudowany dżentelmen wskazuje na regal.

Rzeczywiście, obok różności militarnych, wędkarskich i wszelkich innych, na półce pyszni się piękne, pięciopiętrowe gniazdo szerszeni. Każde piętro ma kształt okrągły i nieco mniejszy od niższego. Gniazdo jest już mocno wyschnięte, więc dotykać trzeba delikatnie, o czym gospodarz przypomina tubalnym głosem.

— Niezła sztuka, co? — teraz pokazuje potężny łeb szczupaka preparowany i umieszczony na wymodelowanej, na „herbową”, desce. Takiej mniej więcej, na jakiej umieszcza się rogi jelenie.

— Owszem. Ile waży?

— Osiemnaście kilo i piętnaście deko...

— Na co wziął?

— Na żywcia!

Rytuał inicjujący wizytę w tym gabinecie w zasadzie się nie zmienia. Najpierw trzeba lyknać klimatu, potem następują konkrety. O tych właśnie przypomina mikroskop na biurku i opuszczana lampa nad nim. Zaś o tym, że znajduję się w ważnym gabinecie, przypomina pięć telefonów na osobnym stoliku, obok biurka. Z głośników płynie spokojnie „Błękitna Rapsodia” Gershwina. Gospodarz woli ją od punk rocka.

Nim zadam pierwsze pytanie, muszę wysłuchać pierwszego casusu.

— No więc tak — przeczesuje fryzurę dłonią. — Było to chyba w 1966 roku. Otrzymuję informację, że w lesie niedaleko Żółkiewki znaleziono zwłoki starszej kobiety, a precyzyjnie: kobietę w stanie bardzo ciężkim z potężną raną brzucha, najprawdopodobniej w wyniku postrzału z broni myśliwskiej; zmarła wkrótce po przewiezieniu do szpitala w Krasnymstawie i w momencie, kiedy nas poinformowano, już nie żyła. Przyjeżdżamy na miejsce krótko przed zmrokiem, pada pierwszy śnieg. Po krótkiej naradzie z prokuratorem decydujemy, że oględziny miejsca zdarzenia trzeba przelożyć na rano, bo w ciemku nie będą miały większego sensu. Przyjeżdżamy na posterunek w Żółkiewce i okazuje się, że tu tejsi milicjanci już zatrzymali podejrzanego. Dzień wcześniej przyjechał do brata. Mieli wspólnie zainaugurować sezon strzelania zająca, który rozpoczął się za dwa dni. Myśliwy nie wytrzymał i ruszył z dubeltówką dzień wcześniej. Broń nabił śrutem i brenką. To drugie na wypadek, gdyby trafił się dzik. I faktycznie, dostrzegł dzika i strzelił. Poszedł w kierunku, gdzie dostrzegł zwierzę, ale nie znalazł ani jego, ani śladów krwi. Poszedł dalej i trafił na zającą, którego położył śrutem. Zabrał łów do domu brata. Wkrótce potem zjawili się funkcjonariusze. Naturalnie, udaliśmy się do zabudowań brata myśliwego i tam istotnie znaleźliśmy zającą. Były zatem podstawy do przyjęcia wersji opowiadania za prawdziwą. Prokurator zapytał, czy ów myśliwy jest absolutnie pewien, że oddał strzał do dzika? „No, nie...” — brzmiała odpowiedź. „Czy mogła to być inna istota żywa?” — ciągnął prokurator. „Mogła być” — odparł myśliwy. I to stanowiło o decyzji zatrzymania go pod zarzutem nieumyślnego spowodowania śmierci. Udałiśmy się spać przekonani niemal w stu procentach, że sprawa śmierci kobiety jest wyjaśniona. Rano, na miejscu zdarzenia, niektórym pewnym siebie mina rzędnie...

Znajdujemy kosz na grzyby, co się zgadza z wyjściową informacją, że starszka zbierała grzyby. Ale w koszu są... niewypały, a obok niego okopcony siewki. Proszę miejscowych funkcjonariuszy o wskazanie miejsca, gdzie leżały zwłoki. Dostrzegamy dołek głębokości 60-70 centymetrów, przypominający lej. W korze drzew znajdują się świeżych odłamków metalo-

wych... Telefonuję do szpitala z prośbą o dokładne oględziny zwłok i po pół godzinie otrzymuję informację: „W ciele denatki tkwi odłamek metalowy z widocznym gwintem”. Sprawa staje się niemal jasna: kobieta zginęła w wyniku działania własnego uderzając siewki w niewypał. Tylko po co to robiła? Te kwestię wyjaśniają sasiadzi. Otóż kobieta od lat prawowała się z jednym z sąsiadów o drogę biegnącą przez las. Z braku zadowolających wyników przed sądem postanowiła sama wymierzyć sprawiedliwość i zamować drogę. Poszła do lasu, w miejsce gdzie kiedyś zakopano amunicję artyleryjską. Wykopała ją, włożyła do koszyka, a potem, przy pomocy siewki, usiłowała powbić w drogę. Resztkę znamy.

Gospodarz pociąga lyk kawy z eleganckiej filiżanki. I po chwili:

— Jakże z tego wnioski?

— ...

— Ano, zasadnicze. Po pierwsze i najważniejsze, kryminalistyka nie jest — jak to potocznie się pojmuje — nauką służącą do udowadniania winy podejrzanemu. Ale także — dość zresztą często — służącą odcięciu od zarzutu. Tak, jak w Żółkiewce. Ergo: kryminalistyka jest dziedziną zmierną, która do ustalenia prawdy obiektywnej przy pomocy metod naukowych, z arsenału różnych rodzajów wiedzy, Chemii, fizyki, mechaniki, daktyloskopii, analizy pisma, balistyki, mikroskopii itd. Po drugie zasadniczą sprawą w badaniu kryminalistycznym jest miejsce zdarzenia i materiał tam zebrany.

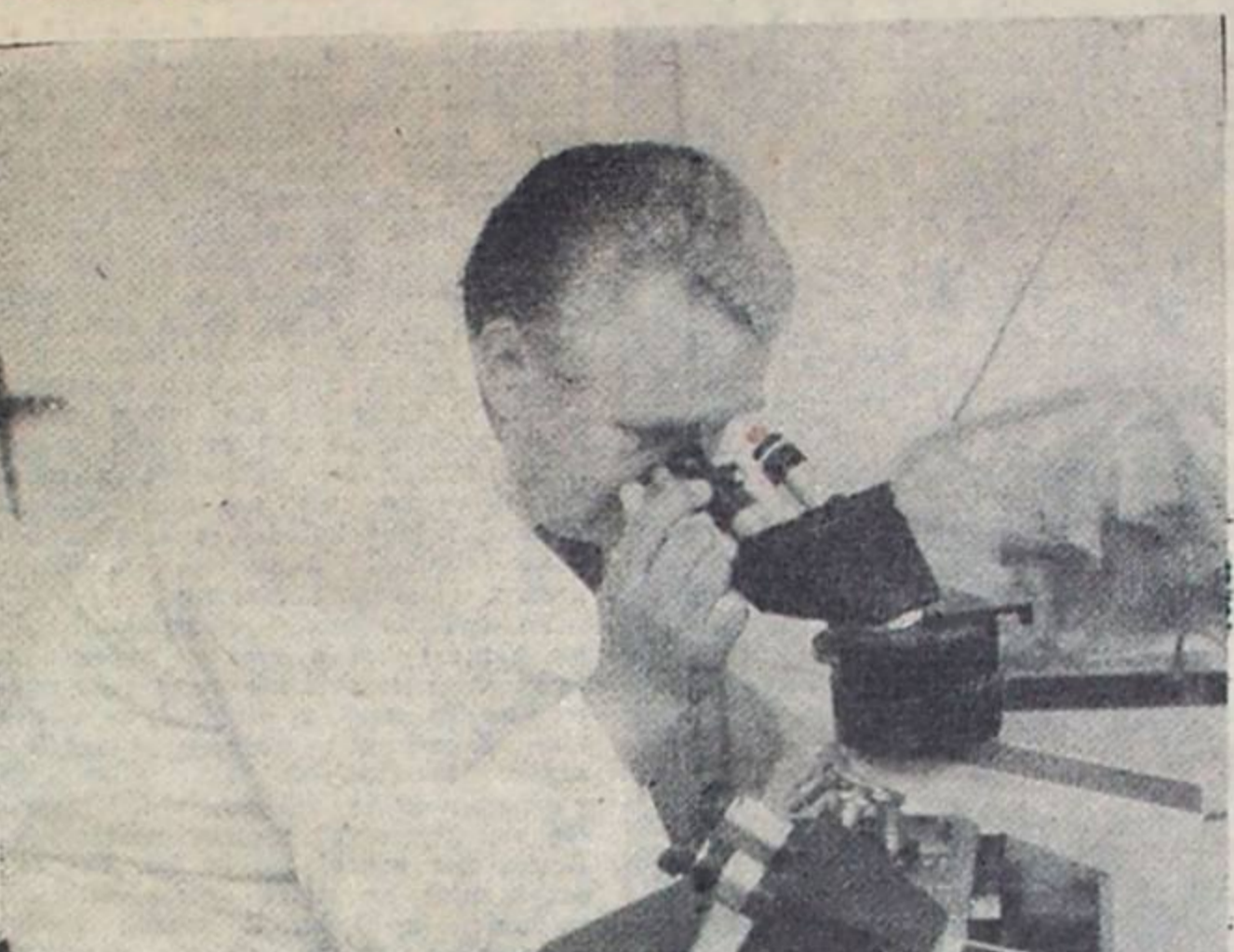
Po takim oświadczeniu ukrywanie personaliów rozmowcy staje się bezcelowe. Podpułkownik Stanisław Krasuski, mgr farmacji, naczelnik Wydziału Kryminalistyki WUSW w Lublinie, 23 lata pracy kryminalistycznej.

Casec drugi. Po informacji, że w kuźni w Stoczku Łukowskim wyrabiane są monety 10-złotowe, na miejsce udała się grupa ówczesnej KW MO. W jej skład wchodził również Krasuski. Wstępne oględziny ujawniły kilkanaście monet leżących na klepsku, w pobliżu kowadła. Wdowa po kowale wyjaśniła, że zgodnie ze zwyczajem należność za kucie konia kładło się zawsze na kowadło. Wygląd „dziesiątek” wskazywał na to, że leżały na ziemi od dość dawna. Zaczęto przeszukiwać kuźnię. Pod koksem odkryto worek futowy, a w nim ponad cztery tysiące monet z podobizną Kościuszki, ówczesnego bohatera monety 10-złotowej. Szukano dalej i zakamarki kuźni ujawniały kolejne worki. Łącznie było ich cztery, a liczba monet przekraczała piętnaście tysięcy. Dawalo to sumkę ponad 150 000 zł, co w 1968 roku, kiedy rzecz się dzieje było niezłym groszem. Wszystkie „dziesiątki” nosiły jednak ślady obiegu i różne daty emisji, co hipotezę „domowej produkcji” czyniło niezbyt pewną. Zwłaszcza, że nie znaleziono żadnych urządzeń mogących służyć bicie monet z każdego worka pobrano losowo po kilkanaście egzemplarzy i wysłano w celu ekspertyzy, do Mennicy Państwowej w Warszawie. Badania wykluczały fałszerstwo. Waga i skład stopu odpowiadały oryginalowi mennicznemu. Pozostawał zatem do wyjaśnienia ekscentryzm kowala, lokującego majątek w metalu zupełnie zresztą nieszlachetnym. Krasuski udał się do kiosku „Ruch”, gdzie w pogawędce ze sprzedającą ustalił, że kowal odwiedzał kiosk kilka razy dziennie i rozmiętał banknoty na 10-złotówkę (monet większych nominalnie wówczas w obiegu nie było). To samo powiedziała sklepowa geesu. Po co to robił? W owym czasie w okolicy następowały liczne podpalenia budynków gospodarczych samych domostw. Mieszkańcy Stoczka żyli w ciągłym strachu. Kowal — też. Chcąc uchronić się przed skutkami ognia, dość łatwo radzącego sobie z papierem banknotów, gromadził monety.

Jest to, znów przykład na działanie „odciążające”, choć dotyczyło ono już tylko pamięci człowieka...

W podobny przypadek „oczyszczenia” Łukaszczyka przez kryminalistykę zdarzył się w Krakowie. Ekipę wezwano do wypadku samochodowego, w którym doszło do zderzenia z motocyklem w kierunku centrum miasta. Według policji, kierowca samochodu, nie mający prawa jazdy, próbował przejechać przez czerwone światła. W chwili zderzenia motocyklista wyrzucił się w powietrze. Kierowca samochodu został ranny i przewieziony do szpitala. W wyniku wypadku doszło do uszkodzenia silnika i przedziału pasażerskiego. Kryminalistka, która przeanalizowała ślady, stwierdziła, że kierowca samochodu był osobą, która nie posiadała prawa jazdy. Wskazywała na to m.in. uszkodzenia w miejscu, gdzie powinien być silnik. Kryminalistka, która przeanalizowała ślady, stwierdziła, że kierowca samochodu był osobą, która nie posiadała prawa jazdy. Wskazywała na to m.in. uszkodzenia w miejscu, gdzie powinien być silnik.

— Wszystkie trzy sprawy dowodzą prawdziwość przysłów, iż nie należy sądzić z pozorów i mówić o znaczeniu wstępnych oględzin miejsca zdarzenia, które mają wielką rolę w dalszym ukierunkowaniu postępowania kryminalistycznego. Przeczą także, jak sądzę, tradycyjnemu przekonaniu, że kryminalistyka to linie papilarne...
Po czym opróżnia filiżankę i zaprasza na zwiedzanie wydziału. Przed wszystkim przypomina o bardziej in-



Stanisław Krasuski: „Kryminalistyka to nie tylko linie papilarne”.
Fot.: Eugeniusz Odrzywołki

tytuł naukowy niż jednostkę organizacyjną milicji. Pracownicy nie noszą mundurów, a zamiast nich białe fartuchy laboratoryjne. Jest to wygodniejszy, a ponadto podyktowane rygorami pracy przy odczynnikach, aparaturze badawczej etc.
Naczelnik Krasuski ostro protestuje, kiedy o ekspertach badania pisma i dokumentów mówi się „grafolodzy”. Uważa, że określenie znaczeniowo tego słowa jest lekko pejoratywne i związane z określeniem cech charakteru na podstawie pisma, co zraża o metody projekcyjne badań psychologicznych. Z kolei porucznik Andrzej Łuszczyk, ekspert mogący się między innymi zająć ustaleniem autorstwa manuskryptów Sebastiana Klonowicza dotąd nie znanych, czy oryginalną metodą badania numeru kopii maszynopisu (na podstawie zmienności wielkości odcisku czcionki, a w zależności od rodzaju papieru użytego do sporządzenia pakietu, rodzaju kalki i typu maszyny), albo nie mniej nowatorskiej metody identyfikacji maszyny do pisania na podstawie... odcisku struktury fałsy, twierdzi, że grafologia, zgodnie ze źródłowością, oznacza dokładnie naukę o piśmie, a to, co się jej przypisuje potocznie, jest nieporozumieniem. Zatem nie widzi potrzeby obrabiania się za słowo „grafolog”.
Przedmiotem badań zespołu, w którym pracuje porucznik Łuszczyk (w przeszłości znany pisarz „Avii” Świdnik), jest ustalanie autentyczności dostarczonych do ekspertyzy dokumentów. Gama ich jest nad wyraz szeroka. Obok listów, zapisków, anonimów, pism urzędowych, druków, przechodził do badań autentyczności znaków pieniężnych (krajowych i zagranicznych), dowodów osobistych, paszportów, książeczek wojskowych czy nawet... asygnat na samochody.
Przykładem z ostatniego czasu może być odczytanie imienia i nazwiska ze znalezionych przy zwłokach w stanie niemal całkowitego rozkładu dokumentów; dowodu i książeczki wojskowej, zburzonych i nie rokujących większych nadziei na sukces. Dzięki zastosowaniu odpowiednich metod chemicznych i mikroskopowych udało się ustalić brzmienie imienia i nazwiska denata. Okazało się, że zaginął on przed ponad rokiem. Istnieje poważne przypuszczenie, iż padł ofiarą morderstwa.

Jakkolwiek by pałęzać — mówi Łuszczyk — analiza pisma ręcznego stanowi zdecydowaną większość pracy ekspertów zespołu. Stąd nie trzeba się zbyt energicznie bronić przed określeniem „grafologia”.
Kapitan Witold Dzida kieruje pracą zespołu ekspertów zajmujących się badaniami fizycznymi i chemicznymi. Wspomina, z pewnym rozbawieniem, artykuł w prasie centralnej, kiedy dziennikarz, o dość znanym nazwisku pisał o stosowaniu przez kryminalistykę niezawodnych „promieni X”, potrącających wydobyć na jaw każdą prawdę. Zdaniem kapitana, taka wersja jest dobra dla przedszkolaków, a specjalistów kryminalistyki po prostu rozśmiesza.
Po tym komentarzu stwierdza, że metody chromatografii gazowej, chromatografii cienkowarstwowej czy mikroskopii fluorescencyjnej nie stanowi już żadnych rewelacji. Do nowości może natomiast zaliczyć fluorescencję rentgenowską. Przy jej pomocy możliwe jest badanie składu nieorganicznego różnych substancji. Jest to metoda nie niszcząca badanej próbki, a do badania wystarcza nawet minimalny materiał.
Przykład. Do mieszkania dokonano włamania przez okno, w którym zmie-

ścił i interferencyjno-polarizacyjnej (szczególnie przydatnej przy badaniach mikrowłókien, identyfikacji ich struktury, barwników, ukształtowania powierzchni). Bez przesady może powiedzieć, że jesteśmy w stanie zidentyfikować 999 na 1000 śladów nam dostarczonych i to robimy — kończy kapitan.
A jako przykład niech posłuży historia z Pewexu. Przy podliczaniu dziennego utargu okazało się, że w kasie brakuje paragonu na 489 dolarów i gotówki w tej wysokości. Natomiast w stoisku znajdowała się kopia z pieczęcią kasji i podpisem kasjerki. Naturalnie towar (dżinsy) wydano. Sytuacja mogła sugerować nieuczciwość kasjerki. Po badaniach w Wydziale Kryminalistyki okazało się, że Pewex padł ofiarą bardzo sprytnego oszustwa. Mimo ludzkiego podobieństwa odcisku stempla i podpisu stwierdzono, że skład tuszu pieczętki i długopisu jest w obu przypadkach różny. Zatem oszust najpierw zaopatrzył się w „lewy” stempel, potem wytrenował podpis, a następnie: wszedł do sklepu i poprosił o kawę, wyszedł z paragonem, przybił stempel, sfalszował podpis, podszedł do lady, podał paragon i zabrał kawę. W analizie próbek tuszu, która doprowadziła do powyższej konkluzji posłużono się chromatografią cienkowarstwową.
Ekspertyzy mechanoskopijne są domeną kapitana Waleriana Gilasa. Polegają one na ustalaniu i identyfikacji narzędzi (przedmiotów) na podstawie śladów przez nie pozostawianych na miejscach zdarzeń oraz ustaleniem przyczyn i skutków powstałych w wyniku działań sprawców.
Co potrafił kapitan Gilas?
W sklepie z drogiem i atrakcyjnym towarem dokonano kradzieży na kilka milionów złotych. Sprawcy mieli dostać się przez szybę wystawową. Po zebraniu szczątków szkła okazało się, że szybę wybito... od środka. Wniosek? Nie tędy wiodła droga wejścia przestępców lub w każdym razie nie wszystkich. Mogło być tak, że sprawcy(a) ukryli się w sklepie i po zamknięciu spłądowali go, uciekając przez wybitą szybę. Mogło być, że sprzedawczyni same ukradły towar, a szybę wybiły dla upozorowania włamania. Wnioski powyższe należą jednak do prowadzących śledztwo lub dochodzenie. Kapitan tylko stwierdza: wybito od wewnątrz. I kropka.
Włamano się do GS-u. Na miejscu pozostawiono łom. Nosił on ślady młotka, którym był kuty w kuźni. Zakwestionowano 35 młotków od okolicznych kowali. W drodze badań mikroskopowych ustalono, gdzie łom wykonano. Jak się okazało, włamywaczem był syn kowala.
Niezwykłej finezji wymagało inne badanie. Żuk, jadąc o zmroku, wpadł na rowerzystę i zabił go. Przy zwłokach znaleziono fragment bańki żarówki kierunkowskazu z fragmentem żarnika (drućka świecącego w żarówce). Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. W garażu usunął wszelkie ślady mogące świadczyć o potrąceniu (były zresztą minimalne). Wymienił też żarówkę w kierunkowskazie lecz wykrocony trzon starej (wraz z fragmentem żarnika) usunął dość niedokładnie, wrzucając do kosza na śmieci. W wyniku poszukiwań dotarło do garażu i tu znaleziono resztki żarówki. Badania wykazały, że obie części żarnika pasują do siebie, jak ulał.
Innym przypadkiem ekspertyzy waznącej na zatrzymaniu przestępcy była analiza... starych butów filcowych. W okolicy wiejskiego sklepu, notorycznie okradanego, milicjanci zorganizowali zasadzkę. Nie czekali długo. Nadziedli włamywacz. Funkcjonariusze wyskoczyli z ukrycia i wówczas przestępca dwukrotnie wystrzelił z dubeltówki, ciężko raniąc jednego z nich, po czym zbiegł. Na miejscu znaleziono dwie filcowe przebitki z naboju. Śledztwo przeciwko głównemu podejrzanemu umorzono z braku dowodów winy. Sprawa wydawała się zamknięta. Po sześciu latach przy innej zupełnie okazji, u podejrzanego znaleziono parę starych filców. Cholewka jednego z nich była pocięta w kółka. W wyniku badań dokonano mikroskopowego porównania tysięcy włókien, by w końcu dojść do finału: przebitki pasowały do filcu cholewki. Sprawca poszedł siedzieć.

Na zakończenie wizyta w pracowni kojarzonej z kryminalistyką najbliższą. Kapitan Kazimierz Krupiński kieruje zespołem zajmującym się daktyloskopią i innymi środkami identyfikacji osób.
Spotkanie rozpoczyna się od krótkiego wykładu daktyloskopii. Osią za jej teorę uchodzą sir Francis Galton, twórca eugeniki (nauki o dziedziczeniu urodzajem), krewny Karola Darwina. W 1892 roku przedstawił on klasyfikację linii papilarnych, stosowaną w zasadzie, po niewielkich modyfikacjach, do dziś. Korzystanie z odcisków palców ma jednak znacznie starszą tradycję. Znane było w Indiach i Chinach. Angliki przejęli je zapewne w okresie podbojów kolonialnych, kiedy przy wyprawianiu zbroi tubylcom pobierali od nich odcisk kciuka (celem wyeliminowania powtórnego zgłaszania się po wypłatę). Daktyloskopia określa się metodą identyfikacji osób żywych na podstawie linii papilarnych (nie tylko palców) pozostawionych na miejscu zdarzenia lub ułożeniu znaków na podstawie tychże linii (pod warunkiem wcześniejszego daktyloskopowania).
— Wie pan, przy dzisiejszej technice klasyczne badania daktyloskopijne nie przedstawiają problemu — mówi kapitan Krupiński. — Znacznie trudniejsze są badania odcisków pozostawionych przez przestępców w rękawiczkach, ale i z tym sobie radzimy dobrze. Przykład z ostatniej chwili. Dokonano bestialskiego napadu na starsze małżeństwo. W celu wymuszenia informacji o miejscu przetrzymywania pieniędzy przpalano ich żelazkiem. Na podstawie odcisków rękawiczek ustalono sprawców, u których te rękawiczki zostały znalezione.
Eksperti zajmują się także identyfikacją śladów obuwia w ziemi lub innym materiale. Protektorów opon — m.in. na ciele ofiar wypadków. W tym przypadku skuteczność badań jest wysoka, wielokrotnie określano nie tylko typ pojazdu, ale także indywidualny egzemplarz opony.
Innym ciekawym przypadkiem było ustalenie sprawy gwałtu dziewczyny dokonanej na święto żaranej ziemi. Gwałciec pozostawił fragmentaryczny odcisk dłoni i to wystarczyło.
Kapitan:
— Ślady zostawia każdy i na wszystkim. Najlepiej dają się one identyfikować na powierzchniach gładkich (np. szkło), bardzo dobrze na papierze, gorzej na częściach metalowych. Najwięcej trudności sprawiają powierzchnie porowate. Rzadko kiedy mamy do czynienia z klasycznym odciskiem palca. Są to zwykle odciski powierzchni nóg, nych dłoni i palców, ale i to zwykle wystarczy. Chciałbym też wspomnieć o śladach specyficznych, z którymi czasem daktyloskopia ma do czynienia. Choćby odprysk lakieru do paznokci, w którym odzwiercudlają się bardzo drobne powierzchnie paznokcia, ślady chemiczne aminokwasów śliny na klej znacznika pocztowego, ślady zębów na ciele ofiary, itd. Kluczowym problemem daktyloskopii jest obecnie opracowanie metody ujawniania śladów linii papilarnych na ciele ludzkim, nad czym pracuje się w wielu krajach świata (m.in. w Japonii), próbując zastosować m.in. techniki laserowej.
W zespole kpt. Krupińskiego sporządza się także portrety pamięciowe osób będących w sferze zainteresowań milicji z takich czy innych powodów.
Warto wiedzieć, że tu także dokonano badań słynnych już studentów w „falsów” made in Zakład Malej Poligrafii KUL, co znakomicie przyczyniło się do ujawnienia niektórych bohaterów tej afery.
Słucham jeszcze fachowego wywodu na temat rodzaju śladów, ich podłoża, metod ich zabezpieczania. Konkretu jawi się jedna: szanse przestępców w konfrontacji z ekspertami są raczej miszerne.
...
Wszystko ma swój koniec. Także wizyta u Sherlocków Holmesów z Wydziału Kryminalistyki. Ich szef wspomina jeszcze:
— Kiedy w 1962 roku przychodziłem do roboty, były dwa pokoje, jeden stary mikroskop, waga analityczna i trochę szkła laboratoryjnego... Zmieniło się. Aparatura za wiele milionów, nowoczesne metody. Ale często jeszcze i może na szczęście, o powodzeniu decyduje oko eksperta na miejscu zdarzenia. Od tego się zaczyna... Słyszał pan? W Włose podobno pojawiły się wegorze? — zmienia raptownie temat.
— Gdzie?
— Koło Kazimierza. Trzeba sprawdzić.
To już na pożegnanie, przy drzwiach.

Nuty i pistolety

Wacław Filiks

W PAŹDZIERNIKU 1940 r. znalazłem się ponownie w rodzinnym Lublinie i dość szybko udało mi się nawiązać kontakt z organizacją podziemną. Była to jeszcze początkowa faza walki z Niemcami, ale już zorganizowana.

Po napaści Niemiec na Związek Radziecki w 1941 r. ówczesny rząd węgierski, jako sygnatariusz Paktu Trzech, 27 czerwca 1941 r. przyłączył się do hitlerowskiej agresji. Na ulicach Lublina pojawiali się żołnierze węgierscy. Próbowałem z nimi rozmawiać, posługując się ich językiem, który cokolwiek poznałem podczas pobytu w obozie na Węgrzech. Pierwsze kontakty z żołnierzami węgierskimi nawiązałem przy kiosku z papierosami, służąc im jako tłumacz. Byli zaskoczeni, że tu, w Lublinie, znają ich język. Wyjaśniłem, że przebywałem na Węgrzech jako internowany i wymienili nazwy obozów: Parkany, Esztergom, Komarom i Vamoszmi-kola. Jeden z żołnierzy powiedział mi, że pewien jego kolega pochodzi z Esztergom. Wyraziłem chęć poznania tego człowieka, co istotnie stało się następnego dnia. Żołnierz ten nie tylko posiadał wiele informacji o życiu w obozie w Esztergom, ale także miał przy sobie list i paczuszkę od jednego z naszych internowanych w Esztergom, który pochodził z Lublina. Z przyjemnością doprowadziłem go pod wskazany adres w centrum miasta, przy ul. Kollataja, gdzie mieszkało starsze już małżeństwo. Nadawcą przesyłki był internowany syn tych ludzi.

Nieodosobniony to przypadek. Po kilku dniach znajomi żołnierze węgierscy przyprowadzili swoich dwóch kolegów. Okazało się, że jeden z nich pochodzi z Parkan, a drugi jest mieszkańcem Esztergom. Na dodatek ten pierwszy znał osobiście mojego obozowego kolegę, pochodzącego z Lublina, a mianowicie Mieczysława Mateńkę, który wykorzystał nadarzającą się okazję i przekazał węgierskiemu żołnierzowi list do rodziny. Nie miałem trudności ze wskazaniem adresu żony i córki Mateńki. Doręczony list sprawił im wiele radości.

Dopiero w 1983 r., podczas autokawowej podróży na Węgry, przypadkowo spotkałem młodego człowieka, od którego dowiedziałem się, że nazywa się Mateńko, a mój kolega z obozu w Esztergom był jego stryjem, który przetrwał tam do końca wojny. Po wojnie wrócił do Lublina, gdzie pracował, a w roku 1980 zmarł.

Nawiązywane kontakty z żołnierzami węgierskimi i dalsze doskonalenie znajomości ich języka stały się początkiem spraw znacznie poważniejszych. Wspominałem już uprzednio, że byłem członkiem ruchu oporu. W łonie organizacji zrodziła się myśl, aby wykorzystać znajomości z Węgrami w celu wszczęcia prób zakupu broni. Zdawali sobie sprawę, że takie transakcje są niebezpieczne dla obu stron i mogą dojść do skutku wyłącznie przy całkowitym wzajemnym zaufaniu. Każdy z nas mógł przecież obawiać się prowokacji. Naszym podstawowym założeniem było to, że poznałszy Węgrów jako przyjaciół, co wielokrotnie potwierdzało się w codziennym życiu. To, że chwilowo oficjalnie staliśmy po przeciwnych stronach w toczącej się wojnie, zarówno my, jak i Węgrzy, traktowaliśmy jako okrutną pomyłkę historii.

Po kilkunastu dniach obserwacji naszą uwagę zwrócił żołnierz węgierski, który codziennie o tej samej porze przemierzał ulicę Narutowicza, niosąc skrzypce w futerał. Nietrudno było dowiedzieć się, że przychodzi on do węgierskiego oficera, mieszkającego przy tejże ulicy, u którego organizowane są kameralne wieczory muzyczne. Od polskich gospodarzy tego mieszkania dowiedzieliśmy się, że obydwa pracowali w szpitalu wojskowym. Wybór padł na mnie i otrzymałem polecenie nawiązania kontaktu z żołnierzem.

Po kilku dniach obserwacji postanowiłem zacząć przechodzącego jak

co dzień żołnierza z futerałem. Moja znajomość języka węgierskiego była na tyle wystarczająca, by zainteresować żołnierza swoją osobą, który, jak to zwykle bywało, zdziwił się, skąd znam ten język. A ja tylko na to czekałem. Wyrecytowałem dobrze wyuczoną opowieść o obozach, w których przebywałem, i o mojej sympatii oraz wdzięczności dla Węgrów za dobroć, której tak wiele od nich znałem. Obawiając się, że po tych zdawkowych deklaracjach nasza rozmowa może się urwać, zmieniłem temat i przeszedłem do muzyki. Zapytałem, czy mógłby dostarczyć potrzebnego mi papieru nutowego, którego w czasie wojny w sklepach brak. Żołnierz

chodząca godzina policyjna nie zmusiła mnie do pożegnania Węgra.

Podczas trzeciego spotkania, kiedy spacerowaliśmy cichymi uliczkami historycznego śródmieścia Lublina, korzystając z braku obecności postronnych osób, zaryzykowałem wszczęcie rozmowy zasadniczej. Powiedziałem wprost, że może być to sprawa nieźmiernie trudna, nawet niemożliwa do zrealizowania, a także bardzo ryzykowna, ale cóż — pilnie poszukuję broni palnej. Zapytałem, czy mógłby mi sprzedać pistolet. Obserwowałem uważnie jego reakcję i zauważyłem, że był moją propozycją zaskoczony, a może nawet więcej — nieco przerażony... Dłuższą chwilę trwało cię-



Z prywatnego albumu. Autor z automatem „Bergmann” otrzymanym od Węgra — wiosna 1943 r.

przyrzekł mi to załatwić i wyznaczył spotkanie w tym samym miejscu następnego dnia. Bardzo się spieszył na ten swój wieczorek muzyczny...

Najważniejsze, że kontakt nie urwał się, choć z drugiej strony peszyło mnie, że naciagam człowieka na papier nutowy, bo z uprawianiem muzyki nigdy nie miałem nie wspólnego. Ale to była droga do celu.

Następnego dnia żołnierz zjawił się w umówionym miejscu i zgodnie ze swym przyrzeczeniem wręczył mi rulon papieru nutowego. Odmówił przyjęcia pieniędzy i wyjaśnił, że traktuje to jako prezent dla Polaka, w dodatku muzyka. Muszę przyznać, że się trochę przy tym rumieniłem. Tak się złożyło, że żołnierz dysponował czasem, nie spieszyło mu się i zdradzał wielką ochotę do towarzyskiej rozmowy. Zorientowałem się, że darzył mnie pewnym zaufaniem. Trochę próbowałem dyskutować ze mną na tematy muzyczne, co z mojego punktu widzenia nie było najszcześniejszym pomysłem. Niemniej jednak pospacerowaliśmy sobie do chwili, kiedy nad-

kie dla nas obu milczenie. Po pewnym czasie żołnierz opanował się i odparł, że sprawę przemyśli, może z oczekiwanym przeze mnie skutkiem. Zapytałem jeszcze, ile przygotował pieniędzy, ale on krótko uciął: „Dogadamy się”. Dalsza rozmowa już się nam nie kleiła. Umówiliśmy się na następne spotkanie za dwa dni, na tej samej pustawej uliczce. Nasze rozstania nie były może chłodne, ale inne niż dotychczas — poważne i skrupione. Obydwa zdawali sobie sprawę, że rozpoczęliśmy ryzykowną grę o wysoką stawkę.

W umówionym terminie udałem się na spotkanie — mocno spięty i podenerwowany, mimo że koleś z konspiracji na wszelki wypadek obstawili teren i zapewniali mi osłonę. Mój węgierski przyjaciel pojawił się dość punktualnie. I on zdradzał objawy niepokoju. Niemal bez słowa weszliśmy do najbliższej bramy, gdzie nastąpiło szybkie przekazanie broni; żołnierz wręczył mi pistolet „Parabellum” i dwie paczki amunicji. Poupychałem go po kieszeniach i zapytałem o ce-

nę. Nie odpowiedział wprost, lecz tylko coś w rodzaju: „Ale pan może”. Weknałem mu przygotowany uprzednio zwitek banknotów, ile tego było, dziękując nie pamiętając, ale sądząc, że naprawdę niewiele.

Teraz należało szybko się rozstać; dalsza rozmowa mogłaby okazać się niebezpieczna. Zapytałem jednak szybko, czy mogę liczyć jeszcze w przyszłości na podobne transakcje. Dodałem, że interesuje mnie przede wszystkim coś grubszego, a mianowicie pistolet maszynowy. Węgier słuchał uważnie i, niczego nie obiecując, rzekł: „Niech pan przyjdzie na następne spotkanie ze skrzypcami w futerał”. Tu wskazał na swoje skrzypce. Ścisłego terminu następnego spotkania nie ustaliliśmy, tylko miejsce i pora pozostały bez zmian.

Zrozumiałem, że to jest swego rodzaju przyrzeczenie. Chłopcy z konspiracji postarali się o skrzypce i futerał, a ja już od następnego dnia rozpoczynałem spacerować z tymi skrzypcami, w dyskretnej обстановce moich towarzyszy. Trwało to około tygodnia, a może i dłużej, a mój Węgier nie nadchodził. Tymczasem widywano go codziennie na ulicy Narutowicza, kiedy o zwykłej porze wędrował z futerałem do swojego oficera. W końcu przyszedł na umówione miejsce, a dzień był wyjątkowo pochmurny i deszczowy. Może wybrał taki dzień celowo? Pod pretekstem zapalenia papierosa weszliśmy do bramy, tu bez słowa nastąpiła wymiana futerałów. Natychmiast poczułem różnicę w wadze tych „opakowań” i z nadmiaru emocji serce mi zakolało. Żołnierz odmówił przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty, oznajmiając, że to jest prezent od Węgrów. I zaraz dodał samorzutnie, że jeżeli coś mu się jeszcze uda zdobyć, to mi dostarczy, a o pieniądzech w ogóle już nie będzie mowy. Zrozumiałem, że ten człowiek postanowił zaufać mi całkowicie, a może nie tylko on sam, ale najprawdopodobniej i jego koledzy, z których pomocy musiał korzystać, wynosząc broń z własnego magazynu.

To był wspaniały człowiek. Nigdy mnie nie pytał o sprawy osobiste, a ja również do dziś nie znam jego nazwiska. Ta zasada obowiązywała nas obu. Z różnych wątków wcześniejszych, towarzyskich rozmów mogłem pozbiierać kilka faktów, składających się na „życiorys” mojego przyjaciela. Liczył nie więcej niż 30 lat, był żonaty, miał na pewno dwoje dzieci i pochodził z Győr. Z innych źródeł wiedziałem, że w Lublinie pracował w szpitalu wojskowym, ale jaką pełnił tam funkcję, nie wiem. Na imię miał chyba Istvan.

Później kontaktowaliśmy się kilkakrotnie, a efektem tych spotkań było dostarczenie nam, Polakom, jeszcze dwóch pistoletów „Parabellum” i sporych ilości amunicji. Nie powiedziałem dotychczas, co zawierał futerał od skrzypiec. Otóż był tam rozłożony na części pistolet maszynowy typu „Bergmann” — dla nas, przygotowujących się do działań partyzanckich, dar wprost nieoceniony!

Teraz, po wielu latach, przeglądam czasem stare fotografie z lat wojny i partyzantki. Na jednej z nich widnieje z pistoletem, otrzymanym od niezapomnianego przyjaciela. W oddziale partyzanckim zmienił on nazwę z „Bergmanna” na „Węgra”. I tak go nazywali wszyscy moi towarzysze broni. Był wówczas już rok 1943...

Opisana przeze mnie historia nie była wcale przypadkiem wyjątkowym ani odosobnionym. Węgrzy, przebywający w czasie wojny w Polsce, nie wahali się, kiedy otrzymali od Polaków propozycje dostarczenia broni dla walczących oddziałów partyzanckich. To była akcja masowa i sądzę, że ubytek tak dużych ilości sprzętu wojskowego nie mógł ujść uwadze dowódcy. Prawdopodobnie działało się to przy cichej aprobacie kadry oficerskiej. Pozbywanie się sprzętu wojskowego i przekazywanie uzbrojenia polskiemu ruchowi oporu przybrało szerokie rozmiary w 1944 roku, kiedy dywizje węgierskie, po wycofaniu ich z frontu wschodniego, po raz drugi znalazły się na terenach Polski, a przede wszystkim na Lubelszczyźnie.

Znane były przypadki, że Węgrzy informowali kierownictwo ruchu oporu o czasie przejazdu „swoich” kolejowych transportów wojskowych i na umówionym miejscu — szlaku — po prostu wyrzucali z wagonów pędzącego pociągu sprzęt wojskowy, a nasi chłopcy to wylapywali.

Pomoc żołnierzy węgierskich bardzo się liczyła w naszym ogólnym bilansie uzbrojenia. Nigdy im tego nie zapomniemy!

O szansach utraconych i szansach nieurojonych

Dalszy ciąg ze str. 1

zmierzchu". Właściwością procesu historycznego jest to, że wszystko starzeje się i jako przeżyte ginie, a jednocześnie na jego ruinach wyrasta nowe. Zatem „doświadczenia i historia uczy, że ani ludy, ani rządy, nigdy niczego z historii się nie nauczyły i nigdy nie postępowały według nauk, które należałoby z nich czerpać. Każdą epokę cechują osobliwości tak swoiste, każda jest stanem rzeczy tak niepowtarzalnych, że w niej tylko, z niej samej mogą i muszą powstawać wszelkie rozstrzygnięcia” (Hegel: „Wykłady z filozofii dziejów”, t. I PWN 1958, s. 10).

Zatem z perspektywy historycznej można mówić o błędach przeszłości i utraconych szansach, ale nie da się — po upływie dziesiątek lat i w zgoła zmienionych warunkach, przy innym stanie świadomości społecznej — wskazać straconych szans i pokusić się o ich realizację. Ostoja ludzkiej nadziei pozostaje natomiast, że wprawdzie żadne pokolenie nie wykorzystuje wszystkich danych mu obiektywnie szans, ale jakąś część z nich — na pewno tak. Nowe pokolenie zaś stanie do startu z nowymi szansami (być może, skromniejszymi od szans poprzedniego pokolenia) i w przyszłości okaże się, w jakim stopniu je wykorzysta. Zawsze też za Słowackim można będzie powtórzyć: „wiem, że jutro błysną nowe zorze”, ale na pewno będą błyszczeć, gdy miną pokolenia.

Po zwycięskiej, choć okrutnej wojnie Polska Ludowa wystartowała do zrealizowania zadań wytyczonych w programie obozu ludowo-demokratycznego z wielce obiecującymi szansami i w pierwszym okresie swego istnienia szanse tę w szerokich rozmiarach i z dużym powodzeniem realizowała. Przypomnijmy tylko niektóre: odzyskanie państwowości w korzystniejszych granicach i w bezpieczniejszym sąsiedztwie; przeprowadzenie wielkich reform społeczno-gospodarczych, co obiektywnie stwarzało możliwości pomyślnego realizowania zasady sprawiedliwości społecznej oraz dalszej konsolidacji narodu; zaludnienie i zagospodarowanie ziem odzyskanych; włączenie do żywej i aktywnej substancji narodu szerokich kręgów ludu pracującego, uprzednio stojącego poza polityką, a obecnie podniesionego do roli gospodarza kraju.

Dlatego dzisiaj, w perspektywie czterdziestolecia, z podziwem możemy patrzeć na nieklamany entuzjazm obywatelski Polaków żyjących we własnym kraju, na ich ofiarne ponoszone trud dla zbudowania lepszej gospodarki narodowej i godziwych warunków życia ludzi pracy, dawniej zepchniętych na drugi plan. Patrząc na przeszłość na podstawie doświadczeń z najwcześniejszego okresu Polski powojennej oraz ocen ścierających się w procesie historycznym — tradycji, dążeń, rozwiniętych programów — możemy stwierdzić, że dzięki ofiarnemu i umiejętnemu wykorzystaniu danych nam wówczas możliwości i szans byliśmy w stanie, w oparciu o osiągnięte zdobycze, posuwać się naprzód we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Czy w rzeczywistości wykorzystaliśmy tak niepomiarne szanse? Do pewnego czasu — tak! Do 1948 roku wszystko na ogół szło ku lepszemu: odbudowaliśmy, w najcięższych warunkach ówczesnego bytowania, stolicę, co miało niejako symboliczne znaczenie i było dobrą zapowiedzią dalszych pomyślnych poczyną w życiu gospodarczym; realizowany został z powodzeniem Trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej (co dzisiaj niektórzy nazywają „polskim cudem”); doprowadziliśmy do ustabilizowania władzy ludowej; zlikwidowaliśmy analfabetyzm i stworzyliśmy szkoły, w których na wszystkich szczeblach dzieci wszystkich obywateli mogły korzystać z bezpłatnej nauki. Nie odbywało się to bez zgrzytów i mniejszych błędów, ale wszak nie ma społeczeństw idealnych, gdzie wszystko toczy się jak najpomyślniej i sielankowo. Chlubne było wówczas poznanie pracy i poczucie obowiązku obywatelskiego, dzięki czemu słowa zapisane w Konstytucji PRL o pracy jako „podstawowym prawie i obowiązku obywatelskim tudzież sprawie honoru” — nie były igarstwem.

Punkt zwrotny w trakcie prawidłowego i owocnego wykorzystywania istniejących w tamtym okresie szans nastąpił w 1948 roku, kiedy to nieoczekiwanie i ponad głowami społeczeństwa (w tym także ponad głowami szeregowych członków partii) ogłoszono ex officio za błędną dotychczasową linię polityki państwa pod pretekstem konieczności rozprawienia się z wydumanym odchyleniem pravicowo-nacjonalistycznym. Pamiętam dobrze, jak przeżywali to szeregowi komuniści i wszyscy myślący członkowie partii. Ci z góry — o dziwo! — zapomnieli zgoda o tym, jak to Lenin przy wielu sposobnościach przypominał, że podstawową metodą realizowania kierownictwa partyjnego i państwowego w odniesieniu do społeczeństwa powinno być przekonywanie, praca organizacyjna i wychowawcza. Stwierdzając, że „zawsze jest potrzebne kulturalne podejście do spraw państwowych”, Lenin żądał takiego podejścia w szczególności przy stosowaniu i przestrzeganiu prawa obowiązującego w państwie.

Okres tzw. błędów i wypaczeń (1949—1956) był konsekwencją odejścia kierownictwa partyjnego od linii politycznej, obowiązującej do plenum KC Pol-

da, że komu więcej dano, od tego więcej się wymaga; wszak uczono ich, że istnieje godność komunisty, który powinien działać świadomie w interesie ziszczenia się ideałów, jakie sam uznał za swoje i zobowiązał się stawać w ich obronie. Ci więcej świadomi musieli zdawać sobie sprawę z narastającej szybko groźby ogólnej katastrofy. Wszak poza partią i administracją były światłe zastępy inteligencji, od której także należy wymagać więcej, niż od ludzi prostych; a przecież i wielu spośród nich uparczywie brało udział w celebrowaniu propagandy sukcesu i jakoś nie robiło im się mdło od dymów kadzidel.

Winnych jest wielu, lecz stopnie zawinień są nader różne. Słusznie też w przemówieniu w dniu 27 sierpnia 1980 r. prymas Stefan Wyszyński wypowiedział twarde słowa nagany także pod adresem robotników i obywateli świadomych swych obowiązków względem siebie, bliźnich i całego narodu. Zganił nieróbstwo i złą pracę.

Na pytanie, czy „nie zdołaliśmy mimo wszystko wykorzystać szans, jakie kreowała epoka i socjalistyczny ustrój” — odpowiadam: wykorzystaliśmy

Ankieta „Kamery” SZANSE 40-LECIA

skieji Partii Robotniczej, odbytego w dniach 31 sierpnia — 3 września 1948 roku, oraz zarzucenia demokratycznych metod rządzenia. Odcięcie się od tego okresu w przebiegu wydarzeń październikowych 1956 r. przyniosło przewyciężenie wspomnianych błędów i stało się szansą dalszego prawidłowego kierowania politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym rozwojem kraju; źle się stało, że w latach sześćdziesiątych nie przeprowadzono w porę niezbędnych reform gospodarczych i niezbyt konsekwentnie realizowano zapowiedź systematycznego pogłębiania demokracji socjalistycznej; niemniej w polityce wewnętrznej i zagranicznej Gomułka potrafił w sposób rozsądny wykorzystać istniejące wówczas szanse w tym zakresie.

Zagrożeniem realnych jeszcze możliwości polepszenia warunków materialnych ludzi pracy oraz prawidłowego urzeczywistnienia demokracji socjalistycznej w połączeniu z tradycjami kultury politycznej narodu oraz aktualnym stanem jego świadomości społecznej było — jak się później okazało — przyjście do władzy ekipy Gierka. W tym „gierkowskim okresie” — biorąc go jako całość — zaprzepaszczono istniejące jeszcze w latach sześćdziesiątych szanse przewyciężenia recesji w rozwoju społecznym i gospodarczym. Patetycznie głoszone slogany: „przywódca narodu, budowa drugiej Polski, dostatnie życie narodu” itp., demoralizowały coraz szersze kręgi społeczeństwa, odstręczały od solidnej pracy w obliczu marnotrawienia wysiłku zbiorowego. Wielu ludzi pograżyło się w cynizmie i apatii; wiotczał i murszał węzeł życia społecznego.

W rezultacie poczyną ówczesnego kierownictwa doprowadzono do największego kryzysu społeczno-politycznego i moralnego w dziejach Polski Ludowej. Jednakowoż należy stwierdzić, iż sprowadzanie dzisiaj przyczyn tak bezprecedensowego kryzysu jedynie do błędów i zawinień ówczesnej ścisłej ekipy rządzącej byłoby karygodnym uproszczeniem problemu źródeł pogrzebania szans, jakie stwarzały niewątpliwe (i trwałe) osiągnięcia pierwszych pokoleń, budujących Polskę Ludową. Odnosi się to zresztą nie tylko do problemu źródeł kryzysu, lecz i odpowiedzialności historycznej oraz moralnej za dopuszczenie do tego kryzysu.

Wszak wówczas żyło jeszcze „emało komunistów, działających aktywnie we wszystkich dziedzinach życia publicznego. A przecież znana im była praw-

duże szanse, jakie zaprezentowała nam historia po drugiej wojnie światowej, ale nie wykorzystaliśmy ich w tym stopniu, w jakim wykorzystaliśmy je w latach czterdziestych; nieproporcjonalnie do obiektywnych możliwości wykorzystaliśmy je w latach 1949—1956; ze zmiennym szczęściem — z tendencją minusową — wykorzystaliśmy je w okresie 1956—1970. Powtarzam jeszcze raz, że w latach 1970—1980 zaprzepaszczono szanse już uprzednio wykorzystane, zaś na skutek błędów i nieudolności ekipy rządzącej i coraz szerzej zarysowującej się demoralizacji znacznych kręgów społeczeństwa — doprowadzono do regresu i utraty wielu już osiągniętych sukcesów w dziedzinie życia materialnego i duchowego narodu. Wiele osiągnięć wszak stanowi trwałą wartość całego narodu.

Obecnie szanse na szybkie wyjście z kryzysu nie przedstawiają się zachęcająco, ale są znaczne i nieurojone. Wydaje mi się, że mówiąc o istniejących szansach w danej sytuacji, ma się głównie na uwadze te, które tkwią w dziedzinie życia materialnego. Tymczasem o działalności narodu i jego zdolności do uporania się z trudnościami decydują przede wszystkim wartości duchowe obywateli. Jestem skłonny przyjąć, że bez — choćby stopniowej — poprawy w dziedzinie życia duchowego społeczeństwa nielato będzie gładko i szybko poprawić jego sytuację materialną. Trzeba uczynić wszystko, co leży w naszej mocy, by młodsze pokolenia wyleczyć z cynizmu, zaś te dojrzałe — z apatii i znacznej nieufności do aktualnie sprawujących władzę.

Sądzę, że dla odrodzenia się, pomnożenia i pomyślnego wykorzystania szans realnie istniejących (nie zaś urojonych) dwie są rzeczy głównie konieczne: zaprogramowanie w sposób rozsądny i bez ociągania się systemu edukacji i reedukacji młodego pokolenia, od którego przecież zależy będzie powodzenie podjętego dzieła odrodzenia narodowego; po drugie — zwalczanie bezlistosne nasilających się zwyrodnień biurokratycznych w aparacie państwowym, jako niebezpieczeństwa pierwiastkowego, tj. rodzącego dalsze plagi społeczne. Z pełnym przekonaniem powtarzam: szanse istnieją, bo naród nasz stać na dużo, gdy się odgaduje jego życzenia, ale trzeba umieć dostrzegać je i roztropnie czynić wszystko, co niezbędne dla ich pomnożenia, urealnienia i wykorzystania.

Andrzej Burda

Kolejny szlagier

W SZYSCY pamiętamy triumfalny pochód przez cały świat kostki Rubika — prawdziwego fenomenu w dziedzinie gier logicznych. Być może, sława kostki Rubika wkrótce nieco zblednie. Jeśli wszystko potoczy się pomyślnie — Węgrzy ponownie zadziwią świat kolejną grą logiczną.

Jest nią średniej wielkości kalkulator elektroniczny wyposażony w kolorowy ekran. Oto pojawia się na nim np. chiński sztukmistrz, który na kilku kijkach kręci różnokolorowymi talerzami. Albo na zielone światło rusza sznur samochodów, które wzajemnie wyprzedzają się, skręcają w boczne ulice, zwalniają lub przyspieszają. Albo — w pokoju pełnym sprzętów kot „Cezar” poluje na myszy...

Takie i inne obrazki pojawiają się na ekranie o nazwie „Comodore-64”, zaś grający — przez naciskanie odpowiednich klawiszy — musi tak nimi operować, aby chiński sztukmistrz nie pogubił talerzy, aby nie doszło do kolizji na jezdni, aby kot nie porzucił i nie potłukł cennych wazonów i innych szklanych przedmiotów w pogoni za myszą.

Oprócz zręczności „w palcach” trzeba także dobrze popracować głową, aby np. przewidzieć sytuację na jezdni lub gdzie skreśli bieżąca mysz. Jest to zabawa pasjonująca.

Pierwsze partie tych „zabawek dla dzieci” i... dorosłych (chyba głównie dla tych ostatnich) Węgrzy wyeksportowali już do wielu krajów. Na specjalne podkreślenie zasługuje zwłaszcza to, że węgierskie zabawki trafiły również do państw najbardziej rozwiniętych przemysłowo i specjalizujących się w przemyśle elektronicznym, jak np. Japonia, Stany Zjednoczone czy Anglia i robią tam błyskawiczną karierę.

W Wielkiej Brytanii powstało specjalne przedsiębiorstwo o nazwie „Andromeda Software Ltd”, które w

porozumieniu z węgierską spółką „Novotrade” podjęło się sprzedaż węgierskiej gry na rynkach całego świata.

Węgierscy programiści przygotowali cztery warianty gier. W przygotowaniu znajdują się dalszych 15, zaś kolejnych 30 czeka na realizację.

Interes ruszył pełną parą i „Novotrade” zarobiła już 900 tys. dolarów. Zyski ze sprzedaży gry rosną w szybkim tempie. Zbyt Węgrzy mają już zapewniony do końca roku, tj. angielska firma zapłaciła z góry za towar, który Węgrzy dopiero wyprodukują.

Andrzej Czerkawski

Christa Wolf

OD TŁUMACZKI: Kasandra, córka króla Priama i Hekabe obdarzona była zdolnością jasnowidztwa, ale i obarczona przekleństwem tak że nikt nie wierzył w jej przepowiednie. To wielka postać w kręgu mity wojnie trojańskiej. Autorka przedstawia własną wersję mity: Kasandra jako branka Agamemnona — przed bramą Myken — oczekuje swojej śmierci. Do końca pozostając świadkiem aktualnych wydarzeń, przywołuje w pamięci wspomnienia własnego życia, stoi więc na progu dwóch czasów.

HEKABE prowadziła mnie prosto przed radę. Nie. Złe. Do sali, gdzie niegdyś odbywano rady. Gdzie teraz, pod dowództwem króla Priama zebrał się spiskowcy. Zabronili nam wstępu. Hekabe wyjaśniła, że wszystkie konsekwencje, które powstaną na skutek faktu, iż nas teraz nie wpuszczono poniosą tylko oni. A przede wszystkim król. Posłaniec powrócił: Możemy wejść. Ale na krótko. Nie ma czasu. Zawsze jak tylko sięgnę pamięcią, na naradach dla ważnych spraw nie było czasu.

Z początku nie mogłam słuchać, bo patrzyłam na ojca. Zupełnie podupadły człowiek. Czy poznał mnie? Czy drzemał jak w półśnie?

A więc chodziło o Poliksene. Nie, o Troję. Nie, o Achillesa-bydło. Chodziło o to, że Poliksena ma zwać Achillesa do naszej świątyni. Do świątyni Apollina Tymbrajskiego. Pod pozorem, że chce z nim zawrzeć małżeństwo. W mojej głowie huczały domysły. Połączyć się z nim? Ale — bez obaw. Tylko na pozór. W rzeczywistości —

Nie wierzyłam własnym uszom. W rzeczywistości nasz brat Parys, ukryty za posągiem boga wyskoczył naprzód (wyskoczył! tak powiedział nam Parys!) i uderzył Achilla tam, gdzie można go zranić: w pięcie. Dlaczego właśnie tam? — Przecież on zdradził siostrę Poliksene swój słaby punkt. — A Poliksena? — Wykona to naturalnie. — Ona? — odparł beczelnie Parys. — Ona z góry się cieszy.

To oznacza, że wy używacie Poliksene jako przynęty dla Achilla.

Głośny, szyderczy śmiech. Ujęłaś to trafnie. Tak się rzeczy mają. Bez butów to jest warunek, który mu postawimy. Powinien zjawić się Achilles w świątyni.

Naokoło śmiechy.

— Sam?

— A jak myślisz? Sam. I nie opuści żyw świątyni.

— A Poliksena? Będzie go tam samotnie oczekiwać?

— Jeżeli nie liczysz Parysa — powiedział Eumelos. — I nas oczywiście. Ale my staniemy na zewnątrz.

Więc Achilles weźmie Poliksene w objęcia.

Na pozór. Gdy będzie tak zajęty — śmiech — zaskoczy go strzała Parysa. Śmiechy.

— I Poliksena się na to zgadza.

— Zgadza? Ona marzy o tym. Jak prawdziwa Trojanka.

— Ale dlaczego jej tu nie ma?

— Tu chodzi o szczegóły. Te ją nie obchodzi. O chłodne plany. Jeszcze by coś po kobiecemu pokręciła.

Zamknęłam oczy i zobaczyłam tę scenę. Ze wszystkimi szczegółami. Słyszałam śmiech Polikseny. Zobaczyłam mord w świątyni — Achilles jako trup, ach, któżby nie życzył sobie takiego widoku! — martwy u stóp Polikseny.

— Wykorzystujecie ją.

— Kogóż?

— Poliksene.

— Ależ ty nie możesz pojąć! Tu nie chodzi o nią. Nam chodzi o Achilla.

— Jest tak jak ja mówię.

Wtedy przemówił ojciec, który dotąd nie zabierał głosu: — Milcz, Kasan-

dro. — Gniewny, zły. — Powiedziałam: — Ojciec —

— Nie nazywaj mnie więcej ojcem. Zbyt długo dawałem ci wolną rękę. Dobrze myślałem ona jest wrażliwa. Tak, ona nie widzi świata takim, jakim jest naprawdę. Trochę buja w obłokach. Udaje ważną, tak czynią chętnie kobiety. Jest rozpieszczona, nie może się utrzymać w ryzach. Przewrażliwiona. Fantazjuje trochę. Jakże to, córko? Czy możesz mi to powiedzieć? Ciągle nos do góry? I ciągle wygadana? I lekceważąca tych, którzy walczą za Troję? Czy ty w ogóle znasz nasze położenie. I gdy teraz odrzucasz nasz plan zabicia Achillesa, naszego największego wroga — wiesz, jak ja to nazwę? Sprzyjanie wrogowi.

Wokół mnie cisza. we mnie też. Jak teraz. Jak tu.

Ojciec powiedział jeszcze, że powinienam nie tylko zgodzić się na te plany, powinnam się też zobowiązać do milczenia o nich, a gdy zostaną wykonane, wobec każdego wyraźnie ich bronić.

A więc to była chwila, moment niespodziewany, którego się obawiałam. Nie byłam nieprzygotowana, dlatego było tak ciężko. Pospiesznie, niewiarygodnie szybko, przemknęła mi myśl, że oni mogą mieć rację. Co znaczy mieć prawo? A więc prawo — prawo Polikseny, moje prawo — wcale się nie liczyło, bo ponad nim był obowiązek: zniszczyć naszego największego wroga; obowiązek był ponad prawem. A Poliksena? Była skazana na zagładę, tu nie było wątpliwości. Była już złożona w ofierze.

— Więc, Kasandro. A więc, ty jesteś rozsądna.

Powiedziałam: — Nie.

— Nie zgadzasz się?

— Nie.

— Ale będziesz milczeć.

Nie odparłam. Trwożnie ujęła matka, Hekabe, moje ramię. Wiedziała, co teraz będzie, ja też. Król rzekł: — Uwięzić ją.

Znowu ręce, które mnie chwyciły, ale niezbyt mocno. Ot tak, by mnie stąd wyprowadzić. Męskie ręce. Nie ma wybawienia poprzez omdlenie czy wizje. Odchodząc jeszcze się odwróciłam, moje spojrzenie padło na brata Parysa. Nie chciał być winnym, ale cóż mógł zrobić? Czyż nie miał go na zawsze w garści z powodu błędu z Heleną? — Słabyś, bracie, słaby. Słabeusz. Bezwolny. Spójrz na siebie w lustrze! — Tym ostatnim spojrzeniem przeniknęłam go na wskroś, a on siebie też. Leczący go nie wytrzymał. Gorliwiej niż inni zachęcał do szaleńczego czynu, którego już nie sposób było uniknąć. Jako zwycięzca Achillesa będzie się potem puszył przed ludem i wojskiem Parys, nasz bohater! Ale nie mogło mu to już zmniejs-

zyć obrzydzenia do samego siebie. Ta choroba była — w — eczenia.

Prowadziła mnie w ciemny wązki korytarz najgłębszych ciemności w to miejsce, które zawsze wydawało mi się tajemnicze i groźne: grobowiec bonaterów. Tak się u nas zwalo miejsce gdzie dzieci przechodzili próby odwagi. Leżało ono na uboczu w wysuniętej i opuszczonej części twierdzy blisko muru, czasem słyszałam nawet, gdy mocno natężyłam ucho jak krały w górze warty Wartownicy nie wiedzieli, że siedziałam tam w dole, nie wiedział o tym nikt, poza owym zaufanym Eumelosa który mnie tu zaciągnął (tak, Andron był jednym z nich, piękny Andron) i dwiema niesamowitymi kobietami, które przynosiły mi jedzenie. Takich postaci jak te dwie, nie widziałam nigdy w Troi. Musiał być ktoś znaleźć w piekle tam gdzie mieszkają ci gotowi na wszystko i wyszukac specjalnie dla mnie. Dla zaostrożenia kary myślałam początkowo i przylałam się nawet na bezsensownych, błędnych myślach: Gdyby ojciec wiedział o tym! Aż głos rozsądku odpowiedział ironicznie. O czym? Czy wtedy bym wyszła stąd? Czy sprowadziłyby inne kobiety? Lepsze jedzenie?

Nie.

Nieprzerwanie, od pierwszych godzin, rozsuwałam wierzbową plecionkę, która wyścielała okrągłą dieczkę, w której siodła z trudem mogłam stanąć. Podobnie jak teraz znalazłam cienki luźny powrót, zerwałam go — ach! kosztowało to mnie godziny, może całe dni pracy — zajęłam się więc plecionką — jak to czynić również teraz od prawie godziny tałe kosz wierzbowy, w którym siedzę jest nowy, jego spłot nie jest zmurszały i skręcony, biorę się zań, by go rozplątać, na ile się da. Zagłębiłam się, zagłębiłam w tej czynności, jak gdyby od tego właśnie zależało moje życie. Z początku, gdy na moje szczęście zbyt byłam oszołomiona i otepiała (tego nie wolno mi było wyrządzić właśnie mnie; właśnie ojciec), uważałam się za żywca pogrzebaną, przecież nie wiedziałam, gdzie jestem a wejście przez które mnie wiedziono iak słyszałam, zostało starannie zamurowane. Ten dźwięk, który mnie uderzył! Niesłychane. Gdzie byłam? Jak długo otrułoby człowieka, by umrzeć z głodu? Pelzałam w pył — jak tam pył: cuchnący szlam. Czy moje wieszanie było okrągłe? Okrągłe i wyłożone plecionką wierzbową, tak, że nie przepuszczalo ani jednego promyka choć na zewnątrz minął dzień i noc i chyba znowu dzień, z zewnątrz obrzucone było glina. Tak je sobie wyobrażałam, i miałam rację.

Rozmyślania o literaturze

REDAKCJA „WOCHENPOST“: Na berlińskim spotkaniu pisarzy powiedziała pani, że kieruje swą twórczość ku pokojowemu światu. Jaki wpływ ma więc obecnie klimat konfrontacji i zbrojeń, co znajduje wyraz w stacjonowaniu amerykańskich rakiet średniego zasięgu w Europie Zachodniej, na uprawianiu zawodu pisarza?

Christa Wolf: Odczuwam obecną sytuację jako wysoce niebezpieczną, osobiście mnie to przygnębia, nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego. Również fakt, że i na naszej ziemi staną rakiety, bardzo mnie obchodzi. Wiemy przecież że w sąsiedztwie rakiet w przypadku konfrontacji militarnej, nikt i nie nie pozostanie żywym. Stawiam sobie wciąż pytanie, czy nasz kraj, czy oba państwa niemieckie, w końcu — czy w ogóle Europa środkowa przetrwają czy nie. To wpływa na moje pisanie, na moje życie. [...]

Pomimo to piszę, Nie sądzę, że literatura ma znaczący wpływ na centralne decyzje polityczne. Ale ważny jest psychologiczny mechanizm rozładowywania i łagodzenia psychicznych napięć. Ważne jest trwanie w nadziei. Piszę więc z myślą o tej nadziei, próbuję odkrywać źródła konfliktów, w których tkwi obecnie nasza cywilizacja. Staralam się o to także w książce o Kasandrze która powstała całkowicie pod ciśnieniem obecnych czasów. Myślę również, że to ważne, czy człowiek zużytkowuje produktywnie

swój czas, czy go marnotrawi — warunki nie odgrywają tu zasadniczej roli.

REDAKCJA: Wspomniała pani już, że literatura nie istnieje właściwie po to, by zmieniać kierunek centralnych wydarzeń politycznych. Ale z drugiej strony opowiedziała nam pani, jak bardzo „Kasandra” okazała się przydatna siłom walczącym o pokój, na przykład w RFN, gdzie z tej książki cytowano fragmenty jako hasła. Czy nie oznacza to, że ruch na rzecz pokoju osiągnął niebywały zasięg?

Ch. Wolf: Zgadza się z tym stwierdzeniem. Wiem także, że zawsze, gdy historia zaświadcza o zachodzących lub zbliżających się ruchach ludowych, przed literaturą staje szansa bezpośredniego oddziaływania. Na przykład, młodzi czytelnicy z RFN napisali do mnie, że po lekturze „Kasandry” są skłonni przyłączyć się do ruchu na rzecz zachowania pokoju. Ale zazwyczaj literatura oddziałuje pośrednio, poprzez zmianę poglądów czytelnika, poprzez powolne przetwarzanie jego przekonań. Przeczytałam to zresztą na własnej skórze. Ież trzeba było czasu, by lektura książek, wielu książek, doprowadziła w końcu do głębokich i trwałych zmian moich zapatrywań. [...]

REDAKCJA: Czy odgrywa dla pani przy tym pewną rolę fakt, że znakomici pisarze są czynni w rodzaju autorytetu moralnego, których reakcja jest znacząca dla innych?

Ch. Wolf: Nie myślę o tym prawie w ogóle w trakcie pisania, może więcej dopiero przy okazji takiego wywiadu. Zę pisarze mogą stać się rodzajem moralnej instancji, zgodzę się, przejrzawszy na przykład pod tym

kątem moją postać. Przyczyna tego faktu leży w braku lub zmienionej roli innych instancji moralnych. Świadomość bycia autorytetem znika jednak zupełnie, gdy staje przed nowym materiałem literackim wtedy pojawia się odwieczna wątpliwość, czy mu sprostać, jak gdybym nigdy dotąd niczego nie napisała. Każdy musi sprostać roli „moralnego autorytetu”, najlepiej i najsumiennie jak tylko może, ale wymaga to też innych cech, nie tylko cech czysto autorskich. [...]

REDAKCJA: Należy pani do rocznika 1923, a więc do tej generacji, którą można by określić „wieloczasową”. Przeciwnie katastrofe faszyzmu. Pani lata studiów — pierwsze lata pracy przypadły na początek istnienia NRD. Książki, które pani napisała w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci towarzyszą zmianom w naszym kraju i wydarzeniom na naszym kontynencie. Czy można oowiedzieć, że specyficzny, niepowtarzalny bagaż doświadczeń pani generacji skłonił panią do obrania zawodu pisarza, a może ta motywacja uległa zmianie?

Ch. Wolf: Jest to pytanie o specyficzny zakres konfliktów, przed którymi musiała stanąć nasza generacja, pytanie o ścierające się siły, odzwierciedlane w sztuce. Tak, siły te zdają się być dla mojej generacji z jej różnorodnymi doświadczeniami społecznymi przełomem szczególnie gwałtownym i z tego pola napięć od początku czerpałam energię potrzebną do pisania. [...]

Moja motywacja pisarska w ciągu dziesięcioleci zasadniczo się nie zmieniła, przesunął się jej punkt ciężkości. Widziałam coraz bardziej wyraź-

nie, że głównym motorem mego pisania jest zgłębianie samej siebie. Zawsze, gdy odkrywałam w trakcie pisania na nowo mój stosunek do moich czasów, ich tendencji instytucji, do współczesnych i samej siebie, gdy odkrywałam coś, o czym wcześniej nie miałam pojęcia, albo też nie mogłam się wypowiedzieć pojawiały się szczególne stany podniecenia, to uczucie autentyczności które właściwie powoduje, że piszę. Owo przerażenie rzeczywistością, która nie jest przecież twoim wobec nas zewnętrznym, lecz procesem, któremu podlegamy ale też go współtworzymy. To jest właśnie to, co wydaje mi się produktywnie, twórcze.

Gdybym żyła gdzieś indziej, miała żyć gdzieś indziej, w innych czasach, chyba odczuwałabym tę samą potrzebę pisania, bo należy ona do mojej osobowości. Czy byłaby ona aż tak intensywna jak w rozrachunku z problemami i konfliktami, które przynosi mi życie w NRD, nie wiem. [...]

REDAKCJA: To, co pani mówi o swojej generacji, co pani napisała o sobie i swoich rówieśnikach — na przykład we „Wzroczach dzieciństwa” — to w rumie twarde osad spraw ludzi. Ma to uzasadnienie w zawodzie pisarza. Ale przecież to generacja nie musi się tylko bez zrzęzw osrawiedliwiać. W końcu to właśnie ona przyłożyła rękę do powstania i rozkwitu naszego państwa.

Ch. Wolf: Twardy osąd? Tak pani to ujmuje? Wydaje mi się, że dotąd nie napisano powieści o tej generacji. Chodziłoby w niej nie o upiększanie czy usprawiedliwianie, chodziłoby raczej o chłodną analizę, która sprawia ból, najwięcej) temu kto to pisze; chodziłoby w niej o jakiś inny miernik niż dobre intencje na temat ciężko pracujących ludzi, raczej o to, czym stali się jako ludzie w toku tej ciężkiej pracy. Zdaje mi się, że musimy

W końcu znalazłam kości i wiedziałam już gdzie byłam. Ktoś skowycał. — Tyko nie stracić zmysłów, teraz nie —

Mój głos.

Nie postradałam zmysłów.

Po drugim czasie skrobanie. Ta kłapa, która mnie orzechała nie widziałam! Musiałam się tego owołu domyślić. Stworzyła się na wysokości ziemi. Garnek, który został wsunięty, przewrócił się w gębę obmacywałam (wiałam garnek z wodą), potem placki owsiane. A ja tego po raz pierwszy obrzydliwy skrzek jedłem z tych bab.

To było piekło! Ale ja żyłam. Nie musiałam umrzeć z głodu. Czy byłam rozczarowana?

Wystarczyło tylko, bym odtrąciła pożywienie

To byłoby zbyt proste. Być może, że tego właśnie po mnie oczekiwano. Po dwóch, trzech dniach zdaje mi się, zaczęłam jeść. A w długich chwilach między posiłkami — spać prawie nie mogłam — drapałam, skubałam, szarpałam i rwalam plecionkę wierzbową. Coś, co było silniejsze ode mnie, porwało mnie. Przez wiele dni myślałam tylko o jednym: kiedyś to się musi wreszcie skończyć.

Co znowu?

Pamiętam jeszcze: Nagle znieruchomiałam siedziałam długo bez ruchu, rażona pewną myślą jak piorunem: To jest ból.

To był ból, który poznałam, zdaje się, na wskroś. Teraz rozumiałam: dotad prawie mnie nie dotknął. Tak jak nie można poznać skały, która kogoś pogrzebała pod sobą, gdy się słyży jedynie jej zbliżający się pomruk, tak zniebił mnie, zdawał się przytaczać ból z powodu straty wszystkiego, co zwalo się „ojciec”. Ze mogłam go wolać tego imieniem, że mogłam słyszeć swe imię, dawać mi techniczne nazwiska. Przecież mógł kiedyś orzechodzieć tędy? Nic nie trwa wiecznie. To był drugi oddech ulgi, choć nie można było tego nazwać ulgą. Jest taki ból, który już nie boli, ponieważ jest wszędzie, jest wszystkim. Powietrzem, Ziemią, Wodą. Każdym kesem. I każdym technicznie, każdym ruchem. Nie, to nie do opisania. Nigdy o tym nie mówiłam. Nikt mnie też o to nie pytał.

Wierzba. Teraz ją rozsuplałam. Mam ją teraz w dłoni. Teraz to nie potrwa długo. Schowam ją. Nikt jej nie znajdzie. Drzewo z którego ją ucięto, rosło nad rzeką Skamander. Gdy ból mnie opuścił, zaczęłam rozmawiać z myszami, które karmiłam. Z węzłem, który żył również w pieczarze i oplatał mi się wokół szyi, gdy spałam. Potem z promieniem światła, który sączył się przez małe otwory, wydarto w wierzbowej plecionce. Punktik światła przywrócił mi znowu dzień. Potem rozmawiałam, choć się tego nie spodziewały, z kobietami. Były wyrzutkami Troja, podczas gdy ja, faworyzowana ponad miarę, przechadzałam się ponad nimi w pałacowych

pokojach. Ich nie krzesana radość z mojej, nie była dla mnie. Zauważyłam, że nie ma w stanie mnie zranić. I one zauważyły to samo. O, jakich słów mnie uczyły! Pluły na mnie prosto w głąb pieczary, belając na brzuchu wycyniały gęby przez otwór ku mnie — ale im dłużej mnie więziono, tym cniwiej oczekiwałam tego widoku. Nie wiedziałam, czy mnie w ogóle rozumiały. Wypytywałam o ich imiona. Szyderczy skrzek. Młodsza, jeśli może to sądzić po głosie, naplula mi do naczynia z wodą. Musiałam doświadczyć, że nie każdy człowiek, który został sprowadzony do roli zwierzęcia, jest w stanie odnaleźć drogę powrotną. Baby były bardziej niebezpieczne, niż niegdyś. Zaczęłam się ich bać.

Pewnego dnia kłapa otworzyła się o innej porze niż pora posiłku. Na próżno czekałam na ten skrzek. Przemówił do mnie wykształcony głos mężczyzny! Andron. Piękny Andron. — Tu, Kasandro. Jak gdybyśmy się spotkali na uczcie w pałacu. Przyjdź tu. Weź to.

Co on mi dał? Coś twardego, ostrego. Obmacywałam gorączkowo palcami. Czy poznałam to? Ten piękny głos, z nutą triumfu. Tak. To była pochwa miecza Achillesa. Którą można było zdobyć, jak myślałam, jedynie wtedy, gdy się zabiło wojownika. Tak: wszystko odbyło się zgodnie z planem. Tak: bohater Greków Achilles był martwy.

A Poliksena? Proszę! Poliksena! Krótko, bardzo zwięźle: — Ona żyje.

Kłapa opadła, pozostałam sama i teraz przyszło najgorsze.

Achilles — bydlę był martwy. Spisek się udał. Gdyby posłuchano mnie, to bydlę byłoby jeszcze przy życiu. Oni mieli rację. Kto zwycięża, ma rację. Ale czyż od początku nie wiedziałam, że nie mam racji? Tak. A więc dałam się uwieździć dlatego tylko, że byłam zbyt dumna, by się ugiąć przed nimi?

Tak więc miałam czas. Mogłam przesłuchiwać raz jeszcze słowo po słowie, myśl po myśli. Dziesiątki, setki razy stawałam przed Priamem, setki razy próbowałam ulec jego żądaniu, odpowiedzieć tak. Stokrotnie mówiłam znowu nie. Moje życie, mój głos, moje ciało nie mogły dać innej odpowiedzi. Czy się zgadzasz? Nie. Ale będziesz milczeć. Nie. Nie. Nie. Nie. Oni mieli rację, a moim udziałem było mówić nie.

Przełożyła:

Halina Ludorowska



Christa Wolf urodziła się w roku 1929, w Gorzowie Wielkopolskim, obecnie mieszka w Berlinie. Jest członką pisarki NRD. Debiutowała w 1961 r. uprawia prozę, eseje krytycznoliterackie. Obok realistycznych powieści napisała szereg opowiadań, w tym fantastyczne utopijne. Od lat znana jest polskiemu czytelnikowi dzięki przekładowi powieści: „Niebo podzielone” (MON 1965), „Rozmyślania nad Christa F.” (Wyd. Poznańskie 1974), „Wzorce dzieciństwa” (Czytelnik 1981) oraz opowiadań: „Kota Maksymiliana nowe poglądy na życie” (Wyd. Poznańskie 1975), „Retrospekcja” (Wyd. Poznańskie 1980), „Ni miejsca na ziemi” (Wyd. Poznańskie 1982).

Fragment opowiadania pt. „Kassandra” pochodzi z tomu „Kassandra. Vier Vorträge. Eine Erzählung”, Berlin (Aufbau-Verlag) 1983 (ukazało się w lutym 1984 roku w NRD).

Christian Heckel

* * *

Teraz, gdy zegary wybiją godzinę
i zrzuci swój kaptur arlekin
wyciągając rękę po zapłatę,
po raz ostatni przelknę chleb
twojego spojrzenia.

Teraz, gdy księżyc wgrzyzie się
w oś ziemi,
po raz ostatni dotknę wyschniętymi wargami
wybrzeży twoich rąk.

Ostatni raz paznokcie moich dłoni
miękkie jak chmury dotkną ludzkiego serca.
Rozpalą się wielkie kamienie
na niebie z trawy... kamienie daremności,
stworzone przez nas planety,
lecz przez nas niezamieszkałe.
Pierwszy to raz zabraliśmy światu
jego dach nad głową.

Christa Schuenke

MIASTECKO N. LATEM

Wieczór kładzie się
jak dym
na biel rozgrzanych
tarasów

ciemność
za oknami
rozpala tysiące bezkresnych
ogni

cisza
trwa nad dachami
jak pieśń

w wymownym milczeniu
pogrążają się domy
w noc

Ursula Martin

JENA

... tam, gdzie otwiera się moje miasto
jak dojrzały owoc w dłoniach
i gdzie słyszę swój głos:
czarna mleczka, Saato!
Jeno, miłośno winogrodników!

Przyzywam cię w listach tkliwie:
najdroższe miasto, wiosko uniwersytecka.
Przedwcześnie gości tu wiosna
ze złotym słońcem na śniegu.
I jesień czerwonołistna
wsparta o skamieniałe muszle.

Topi się w czeluściach pieca,
czego nie rozpuszczą kwasy ni woda.
Szlifuje się tu zwierciadła,
z nieba spadają gwiazda po gwieździe.
Cuda w sześciu oczach
wzlatują w kosmos
ogniskując tajemny obraz ziemi.

Miasto o potrójnym obliczu!
Pod niebem Grecji,
gdy jestem z dala od ciebie,
zataplam się w twojej czarze.

Siegfried Nucke

GARNCARZ

Wskazywać drogę światłu dnia,
potem ustawić krzesło na właściwym miejscu.
Nieuczestnie myśli złapać w garść,
może wycisną w glinie ślad,
który ożyje
zanim ja przemienię.

Brigitte Struzyk

FIN DE SIÈCLE

Zielone czółenka
dwudziesty wiek:
z moich kolan spada
klip kłap na dywany

puszyste i miękkie.
Nieszczęlna to tkanina,
mój poeta!

Steffen Mensching

UNTER DEN LINDEN

Do mojej skroni
przyłgnął wilgotny liść lipowy.
O, moje prastare miasto,
jakże łatwo nas zranić oboje!

Christian Heckel, ur. w 1953 r., początkowo stolarz w teatrze, obecnie pracownik muzeum.

Siegfried Nucke, ur. w 1955 r., nauczyciel.

Brigitte Struzyk, ur. w 1946 r., dramaturg.

Steffen Mensching, ur. w 1958 r., debiut poetycki w 1979 r., autor dwóch zbiorów poetyckich.

Christa Schuenke ur. w 1948 r., ukończyła studia filozoficzne na uniwersytecie Humboldta w Berlinie, tłumaczka.

Ursula Martin ur. w 1944 r., pracownik domu kultury w Jenie, filolog.

to pytanie postawić sobie samym, nasze dzieci i tak je stawiają.

Stwierdzenie, że „społeczeństwo” popełniło w tym lub innym czasie te lub inne błędy, jest dla mnie z literackiego punktu widzenia relatywnie mało interesujące. Ciekawi mnie raczej: co w tym czy innym czasie wiedziałam, przeczuwałam, myślałam, zrobiłam, lub czego poniechałam. Co z tego ja, my — „zapomnieliśmy”. Co oddaliło nas samych od naszych wcześniejszych nadziei i wyobrażeń i co jest niezbędne w przyszłym współżyciu ludzi. To jest właściwe pytanie. Tu jesteśmy dłużni my, szczególnie literaci, młodszym od nas pewną szczerą.

REDAKCJA: Czy sytuuje pani siebie w określonej tradycji literackiej?

Ch. Wolf: Chciałoby się spontanicznie powiedzieć „tak” ale odpowiedź na następne pytanie: w jakiej tradycji? nie jest już tak łatwa. Mój wczesny rozwój artystyczny nie byłby możliwy bez intensywnego zainteresowania literaturą niemieckich antyfaszystów, byłych emigrantów, którzy wpłynęli na samoświadomość mojej generacji i których, przy całej skromności, uznawaliśmy za nasz wzór. Pracowałam wtedy w związku literatów i było dla mnie czymś bardzo ważnym, znać osobiste tak różnych ludzi jak Fürberg, Weiskopf, Alex Wedding, Kuba rozmawiać o ich życiu z Bodo Uhsem, Bredlem, Claudusem, Hermlinem (trochę później), Kurtem i Jeanne Sternami, móc wypytwać o emigrację w Hiszpanii, Meksyku i Związku Radzieckim, obserwować ich w politycznych sytuacjach konfliktowych. Z czasem z niektórymi się zaprzyjaźniłam, jeszcze do dzisiaj. Pryskały stereotypy. [...]

Idź zawsze prostą drogą synu...

Dalszy ciąg ze str. 1

... lata gromadzenia dokumentacji. ... lata prywatnego dochodzenia do ... w publicznych.

... odwiedzałem w Krakowie zakłady ... instytucje i urzędy. Pytałem ... pracowników, czy znali prawdziwe ży- ... Barszcza?

— Gdybym musiał krótko scharakteryzować Edwarda — stwierdza wiceprezydent, Jan Nowak — powiedziałbym: to był dobry człowiek! Można mnożyć określenia, wydobywać jeszcze inne cechy byłego dyrektora, prezydenta i ministra, ale żaden przymiotnik trafniej nie wyrazi o nim prawdy. Oddany rodzinie, pomagający każdemu, kto zwrócił się do niego z prośbą. Dobry? Niektórzy powiadają: dobrotliwy. To brzmi jakby czasami pozwalał sobie wykorzystywać. Z pewnością i tacy się znaleźli.

Nie nosił maski. Dla wszystkich jednakowy. Dla przełożonych i podwładnych. A ile nosiło, i nosi, maski? I to nie jedną. Im łatwiej żyć!

Przekonały mnie dowody, że odszedł od nas z całą świadomością i powiedziałbym — determinacją. Wybrał taki dzień, gdy w Warszawie przebywała córka z mężem, a więc mogli oni w nieszczejności zaopiekować się jego żoną, Heleną. Próbuje zrozumieć jego ostateczny wybór. Odpowiadam na pytania, które sam sobie stawiam. Jak mógł odejść od żony, córki, od syna? Od ukochanej wnuczki? Nie mógł im poświęcić zbyt dużo czasu, ale był do nich przywiązany. Jak mógł odejść człowiek, który nigdy ze mną, w ciągu ćwierćwiecza naszej znajomości, ani razu nie wspominał o śmierci? Zawsze zwrócony ku przyszłości. Ciągłe z nowymi planami...

Aby zrozumieć jego życie, musimy pamiętać o gorącej jesieni 1980 i jeszcze bardziej gorącym roku 1981. W czerwcu 1980 roku został mianowany ministrem w listopadzie rozstał się z ministerstwem. Aż do śmierci nie otrzymał pracy.

W styczniu 1981 roku otrzymał najbardziej dotkliwy cios — wydalono go z szeregu partii. Wielokrotnie o tej bolesnej sprawie rozmawialiśmy. Nie mógł zrozumieć, dlaczego to właśnie jego spotkało.

Nie uwzględniono trzydziestoletniego doświadczenia znoju.

Wstydzili się jechać do rodzinnej wsi. Dziennikarze krakowscy dopiekli Edwardowi, skrzywdzili... Chciał im odpowiedzieć na łamach krakowskich dzienników, nosił się z zamiarem podania ich do sądu, przeprowadzał na ten temat rozmowy z adwokatem.

Edward nigdy nie zapomniał o chłopskim rodowodzie. Cechy chłopskie: konsekwencja, zrozumienie bliźnich, wysokie poczucie honoru i godności osobistej kultury woli w mieście.

Odszedł silny, twardy człowiek. Takiego go znalazłem.

Najpierw dosięgła Barszcza plotka. Nie tylko on z nią przegrał.

Z wystąpienia Kazimierza Barcikowskiego, sekretarza Komitetu Centralnego PZPR na konferencji partyjnej w Nowym Sączu, w czerwcu 1981 r.:

— Dlaczego każda plotka wymierzona w naszą partię jest przyjmowana

jako prawda? Nawet ta plotka najwiedrutniejsza? Nie kryjemy i nie chcemy kryć odpowiedzialności i win kierownictwa partii, ale nie upraszczamy sprawy! Nie samo kierownictwo szło tym kursem, który doprowadził do komplikacji, które dzisiaj w kraju występują. Do spraw tej niedalekiej przeszłości trzeba mieć stosunek wielostronny, dojrzały, widzieć to, co tam było złego i to, co było pożyteczne.

Kto intrygował przeciwko Barszczowi? Kto dzisiaj do intrygowania się przyzna?

Kto plotkował? Kto dzisiaj do plotkowania się przyzna?

Najkrótsza charakterystyka: Edward Barszcz, z wykształcenia inżynier budowlany, na 27 długich lat związał swój los z Hutą im. Lenina. Dyrektor naczelny Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego „Budostal”; w przedsiębiorstwach podlegało mu ponad 20 tysięcy ludzi. Odznaczony Sztandarem Pracy I i II klasy. Od 1 maja 1978 r. przez dwa lata prezydent Krakowa. Przez pół roku (czerwiec-listopad 1980) minister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych.

Nie plotkowano o Barszczu, gdy chodził w gumniakach po placach budów. Zaczęło — z chwilą objęcia przez niego stanowiska prezydenta królewskiego miasta Krakowa. Nie przyjęto tej nominacji z uznaniem. Syn chłopca na fotelu prezydenckim. Inżynier. Budowlanin. Z Nowej Huty. Takim prostym w urzędowaniu i kontaktach towarzyskich, bez wyszukanych manier, pozbawionym cech dyplomaty i zalet krasomówczych.

To nie Barszcza typowano na prezydenta. Wymieniano nazwiska profesorów krakowskich uczelni, a przede wszystkim sekretarza Komitetu Krakowskiego.

W szacownym magistracie zaczęło się niepokozić: pan prezydent dokonywał zmian kadrowych.

Od połowy listopada 1980 r. były prezydent i były minister pozostawał bez pracy. Szukał uporczywie zatrudnienia. Nie pragnął wysokiego stanowiska.

Kazano mu przeczekać.

Chciał wrócić do Krakowa, któremu oddał najlepsze lata.

Kraków go nie chciał. W dziennikach ukazywały się o nim krytyczne informacje. Nie oszczędzala go krakowska telewizja. Czytał wszystkie teksty o sobie. Doradzano mu, aby odpowiedział publicznie na zarzuty. Milczał.

Do sierpnia 1980 r. pisano o nim nie- dużo, ale wyjątkowo dobrze.

Po sierpniu 1980 r. temperatura tekstów dziennikarskich wybitnie wzrosła. Dotyczyło szczególnie „Gazety Krakowskiej” (przeimianowanej z „Gazety Południowej”). Czytano ją nie tylko w Krakowie. Do jej osiągnięć należy nawiązanie bliskiego — być może po raz pierwszy w swojej historii — kontaktu z robotnikami. Do minusów — nadmierna pogoń za ciekawostkami i sensacjami.

Najbardziej, jak wiadomo, plotkuje się o ludziach piastujących wysokie stanowiska. Temat: Barszcz do plotkowania nadawał się znakomicie. Były prezydent. Były minister.

Wykluczony z partii. Bez stanowiska. Z pozytywnymi kontaktami i układami. Zbigniew Pełka stwierdził w kwietniu 1981 r. na łamach „Dziennika Polskiego”: Kanciasta sylwetka „człowieka z budowy” była dla wielu nie-

przyjemnym zgrzytem estetycznym, psującym dostojną harmonię hallów, gabinetów i sal obrad Urzędu Miasta.

Część plotek narodziła się w dostojnym gmachu magistrackim Plotkowano, że żona Barszcza, nauczycielka z 24-letnim stażem, chodziła na przyjęcia i uroczystości oficjalne w sukni przetykanej złotem wartości stu tysięcy. Plotkowano, że Barszcz buduje trzy willie: dla siebie, dla córki i syna. A jego willa wyposażona jest w dwie podziemne kondygnacje ukrywające saunę i basen. Wierzono w te brednie. O tych plotkach Barszcz, jego żona, ich córka i syn dowiadywali się od znajomych i przyjaciół oraz z listów nadsyłanych pod adresem domowym.

Zastanawiali się, jak przeciwdziałać rozgłaszanym plotkom. Poczuli się bezsilni. Postanowili milczeć. Odmienią postawę przyjął atakowany profesor Wiktor Zin. 2 października 1980 r. „Gazeta Południowa” wydrukowała jego list. Fragmenty: „[...] Dzisiaj wszyscy sobie coś zarzucają. Gorsze jest to, że w ramach demokratyzacji naszego życia stosujemy dawne metody „strzałów zza węgła”, anonimowych pomówień... Nie jestem posiadaczem 6 willi, bo nie mam nawet własnego domku wypoczynkowego. Nie udzielam prywatnych lekcji rysunku. Nie wykupiłem połowy Krupówek. Nie wydałem zezwoleń na wywóz polskich dzieł sztuki do bogatych krajów zachodnich. Nie mebluję sobie dworu ani za państwowe pieniądze, ani za prywatne pieniądze. Taki dwór po prostu nie istnieje. Nie porwałem mi też córki do Indii i nie wykupiłem jej za „grosz publiczny”.

Do najbardziej perfidnych należała plotka o sfingowaniu przez prezydenta Barszcza wypadku i wyludzeniu renty.

Przedstawmy fakty.

30 października 1978 r., wieczorem, wracając z konferencji w Warszawie uległ on wypadkowi.

Tego dnia Barszcz pracował trzynastogodzin.

Prof. dr med. Zdzisław Łapiński rozpoznał u poszkodowanego m.in.: złamanie żeber od drugiego do dziesiątego włącznie z rozejściem się od ołamek; stłuczenie barku prawego; złamanie prawej łopatki; wstrząs mózgu; stłuczenie nerki prawej.

Prezydent przebywał na zwolnieniu lekarskim od 30 października 1978 r. do 25 stycznia 1979 r.

Henryk Bogacz, dyrektor Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Krakowie stwierdza: — Edward Barszcz otrzymał 25 maja 1979 roku — zgodnie z przepisami — rentę inwalidzką wypadkową trzeciej grupy, na okres dwóch lat. Po tym czasie o stanie jego zdrowia wypowiedzieć miała się komisja lekarska.

Przepis ustawy: Renta przysługująca z tytułu inwalidztwa będącego następstwem wypadku przy pracy lub choroby zawodowej nie ulega zawieszaniu z tytułu osiągnięcia zarobków lub dochodów, bez względu na ich wysokość.

Każdy tekst dziennikarski o Barszczu stawał się wydarzeniem. Nie tylko sensacją dnia.

Zbigniew Satała 13 lutego 1981 r. w „Gazecie Krakowskiej” opublikował artykuł pt. „Willi przy Grochowskiej odświeżania tajemnic”. Zbadajmy zarzuty postawione przez reportera: Na miesiąc nie pozostawiono nawet dotychczasowego mieszkania rodziny prezydenckiej, gdyż zostało ono wykupione (3 pokoje, garaż) za 86 651 zł dla córki.

Skwitujmy krótko: prezydent wykupił mieszkanie zgodnie z przepisami i przekazał córce.

Kolejny zarzut redaktora Satały: Zrezygnowałem z innej sprawy, dla załatwienia których zwykły amercjanin musiał tracić kilka a zdarza się że i kilkanaście lat, prezydent załatwiał od ręki. Trzeba było mieszkanie dla syna. Coś prostszego, jak poprosić o pomoc spółdzielnię mieszkaniową. Prośba wyrażona została w czerwcu 1978, a już 23 czerwca syn prezydenta został skierowany do spółdzielni „Płast”. 6 lipca został członkiem i następnie otrzymał mieszkanie. Mieszkanie z puli rezerwy Zarządu Wojewódzkiego Spółdzielni Mieszkaniowej.

Plotka krakowska głosiła, że Jerzy Barszcz uzyskał duże luksusowe, dwupokojowe mieszkanie.

Lucjan Leśniak, prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej: — Dwa dziennikarze z „Gazety Krakowskiej”, Jerzy Piekarczyk i Zbigniew Satała przeprowadzili ze mną w marcu 1981 roku wywiad na temat spółdzielczości mieszkaniowej. Zadał mi między innymi pytanie: „Czy taką szczególnie drażliwą sprawą było przydzielenie przez pana mieszkania z „puli prezesa” (w ciągu miesiąca) dla syna ówczesnego prezydenta miasta Barszcza?” Odpowiedź moją wydrukowali następująco: „Na to pytanie nie odpowiem”. Chciałbym wyjaśnić, że moją ogłoszoną odpowiedź uważam za przykład manipulacji dziennikarskiej. Ja powiedziałem: „Na to pytanie nie chcę odpowiadać, bo obawiam się, że moje słowa zostaną tak samo opacznie przedstawione, jak sprawa willi Barszcza na Grochowskiej”.

Dlaczego zdecydowałem się, aby syn ówczesnego prezydenta dostał mieszkanie poza kolejnością, z tak zwanej rezerwy zarządu WSM? Prezydent zwrócił się do mnie z prośbą, abym — w miarę możliwości — uniknął w jego trudną sytuację. Wiedziałem, że zajmował trzy pokoje z żoną, z zamężną córką, z wnuczką, z zonatym synem. Prosił, aby synowi przydzielić przeźściwo skromne locum dopóki nie ukończy segmentu przy Grochowskiej. Po zakończeniu budowy — zapewnił — Jerzy odda mieszkanie do dyspozycji spółdzielczości i przeprowadzi się do niego.

Jerzy Barszcz: — Otrzymałem spółdzielcze mieszkanie lokatorskie, na które płaciłem dwa miesiące. Dzięki ustawienictwu ojca przydzielono mi je, być może, o rok wcześniej, ale straciłem na metrażu. Miałem wkład na M-4, dostałem M-3 (dwa małe pokoiki).

O „willi pana prezydenta” przy Grochowskiej również pisał Zbigniew Satała, powtarzając argumenty inspektorów Najwyższej Izby Kontroli. Redaktor Satała prawdę inspektorów powtórzył w „Gazecie Krakowskiej”, nie próbując polemizować i skonfrontować zdobytych wiadomości.

Rozmawiam z redaktorem Zbigniewem Satałą w Jamie Michalikowej. Nasz nieco nerwowy dyskurs przerywają co pewien czas wycieczki szkolne, oglądające z nauczycielami historyczną kawiarnię. Wspominamy przeszłość, ale tę niedawną.

Zbigniew Satała: — Wiktor Zin, to postać wypuszczona na potępienie społeczne. Dziennikarze go szczypli. Kubica napisał o nim duży tekst, ale profesor się wybronił. Edward Barszcz? Wciąż mówiono o nim. Co z Barszczem!

Barszcz zwolniony z funkcji ministra. Dlaczego? Nie podano motywów. Usunięto Barszcza z partii Centralna Komisja Kontroli Partyjnej nie podała przyczyn. Krótkiego komunikatu Maciej Szumowski, redaktor naczelny „Gazety”, nie chciał puścić. Skontaktowałem się z sekretarzem Komitetu Krakowskiego, Janem Brońkiem. Nie drukujemy komunikatu. Zamieścił go „Dziennik Polski” lub „Echo Krakowa”. Plotki narastały. Wtedy napisałem: „Willi przy Grochowskiej odświeżania tajemnic”. przedstawiłem wyniki kontroli. Barszcz powiększył wielkość działki, metraż pomieszczeń, budynek posiadał ponadnormatywne wykąpienie. Przed sierpniem 1980 roku mieliśmy w kraju dwa prawa: dla zwykłych śmiertelników i dla takich, jak prezydent Barszcz, którym wszystko było wolno.

Anna Słazak, córka Edwarda Barszcza, studentka Akademii Rolniczej w Krakowie nie chce mówić o ojcu. Jeśli jednak moje pisanie może wpłynąć na (ewentualną) rehabilitację pośmiertną, zgadza się, choć z oporami: — Rzadko bywałem w domu, ale czułem jego ciągłą obecność. Mam powiedzieć panu całą prawdę? To był bardzo dobry i bardzo biedny człowiek. Żył dla innych. Jemu pozostawały już tylko smartwienia. Polityką mało się interesowałem, a po śmierci taty, to już zupełnie. Czytaliśmy gazety Trwała nagonka. Doradzałem z matką, aby wystąpił, napisał, przemówił. Nie chciał. Cierpiał. Przechwytywałem anonimowe listy. Poświęcał się dla ludzi. Teraz zaczął się ich bać.

Obejrzałem dokładnie „palac pana prezydenta”, czyli trzy segmenty: Barszcza, Słusarka i Balagi. Nie ma w nich saun, basenów ani historycznych kominków z rewoloryzowanych krakowskich kamieni lub z Wawelu.

Z początku o „willi pana prezydenta” tylko plotkowano. Pisać o niej zaczęli dziennikarze w 1981 r. Dwaj dyrektorzy z „Budostalu”: Balaga i Słusarek nie wzbudzali sensacji.

Zapewniano: prezydent zabrali plan przeznaczony na przedszkole. Po sprawdzeniu: przedszkole mieści się sto metrów dalej.

Z wypowiedzi Kazimierza Barcikowskiego w kwietniu 1981 r. w Hucie im. Lenina: Po odejściu Pękali wysunęliśmy kandydaturę Edwarda Barszcza, którego poznałem po raz pierwszy dopiero tu, w Krakowie. Ja mam taką naturę, że zawsze ludziom wierzę i ufam. Uważam, że na przykład w porównaniu do Pękali Barszcz dużo dobrego dla Krakowa zrobił i ma wiele zasług. O budowie domu przez Barszcza dowiedziałem się stosunkowo wcześnie. Rozpoczął jego budowę, pracując jeszcze na poprzednim stanowisku jako dyrektor. Dalem mu na tę budowę zgodę, bo uważałem, że prezydent z racji funkcji ma prawo mieć reprezentacyjny dom...

Byłem także w mieszkaniu byłego ministra w Nowej Hucie. Trzy pokoje z kuchnią. Staralem się wyobrazić w nim małżeństwo Barszcza, matkę Barszczoję (obce panie — nauczycielki, przysłużywał im dodatkowo metraż), córka studentka, syn student. Przebywali tutaj wspólnie szesnaście lat. W trudniejszych warunkach niż przeciętna krakowska rodzina.

Poprosiłem Helenę Barszcz, aby opowiedziała o ich mieszkaniach. Wszystkie w Krakowie. Pierwsze: cztery rodziny w trzech pokojach przy Kapucyńskiej. Kuchnia palnikowa w łazience. Drugie: pokój przy Placu Centralnym. Nie do zamieszkania. Trzecie: dwa pokoje. Tam urodził się syn. Czwarte: trzy pokoje w bloku pohotelowym, kuchnia węglowa, krzywe deski podłogowe, zapchłone i zamyszone.

Barszczo-wi-prezydentowi oferowano do wyboru kilka reprezentacyjnych lokali. Odmówił. Pragnął własnego, wspólnego domu — dla siebie i syna. Inż. Zygmunt Słusarek, były dyrektor „Budostalu-2”: — Budowę segmentów podjęliśmy poprzez Spółdzielnię Mieszkaniową „Wspólnota”. Spółdzielnia z kolei prace zleciła „Budostalowi”. Zaden z nas nie dysponował odpowiednią ilością czasu, aby mógł organizować budowę i prowadzić ją samemu lub przy pomocy przedsiębiorstwa, dlatego zadaliśmy się w całości na drogę spółdzielczą. Tym systemem zapewniła podwójną kontrolę rozliczeniową: pomiędzy spółdzielnią i przedsiębiorstwem, pomiędzy spółdzielnią i użytkownikiem. Szliśmy tą drogą, bo bezpieczniejsza, chociaż droższa: trzeba spółdzielnię opłacać, ale automatycznie wyklucza się podejrzenia budujących o machlojki finansowe.

Inż. Mieczysław Balaga, dyrektor „Budostalu-3”: — Zjednoczenie otrzymało lokalizację na trzy domki przy Grochowskiej. Wywiesiliśmy ogłoszenia na tablicy. Zabrakło chętnych. Bronisław Baniewski, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Wspólnota”: — Barszcz, Słusarek i Balaga mieli pozwolenie od szefów resortowych na dodatkową powierzchnię mieszkaniową do 140 metrów kwadratowych.

W przyziemiu, w tych trzech segmentach, znajdują się pomieszczenia — w zasadzie gospodarze — które można zamienić na mieszkalne, jeśli zastosować strop podwieszony, będą niskie — 2,20 m, bez stropu 2,40 m z widoczną instalacją. Użytkownikom może być to nie przeszkadzało, estetyce — tak. Kontrolerzy potraktowali te pomieszczenia gospodarze u Barszcza, Słusarka i Balagi jako mieszkania, stąd powstał zarzut o powiększeniu metrażu. Pomieszczenia w przyziemiu są w pewnym stopniu „okaleczone”.

Inż. Zygmunt Słusarek: — Można tej budowie postawić zarzut — ten zarzut ja muszę znieść jako były dyrektor przedsiębiorstwa, które stawiało te trzy segmenty na Grochowskiej, że prace prowadziłem na nie zatwierdzonej w pełni dokumentacji. Mianowicie: do pierwotnej, przyjętej przez wszystkie organa, łącznie ze spółdzielnią, ja i inżynier Balaga wprowadziłem nieco zmian. Powiększyliśmy wysokość kondygnacji i poprzestawiliśmy niektóre funkcje budynku. Na przykład mieliśmy najpierw segmenty ogrzewać ciepłem dostarczonym z pobliskiej kotłowni, ale nam odmówiono. Zdecydowaliśmy się na własny piec. No, tak, ale wtedy należało przewidzieć miejsca na kotłownię, na opał. Wobec tego ruszyliśmy ten piec wprowadzić do planu i planie poszerzyć. Potem udało się nam wprowadzić ogrzewanie gazowe. Inna zmiana — przeniesienie gazu z przyziemia do piwnicy. Bo skotłownia była, to nonsense, aby zaopatrywać ją ziemią...

Inż. Mieczysław Balaga: — Spółdzielnia „Wspólnota” mówi: — Panowie, my już w tym roku nie możemy zatwierdzić dokumentacji, ponieważ mamy już wszystkie zlecenia położone, jak wam się spieszy, to sobie ją sami zrobicie, albo kogoś wynajmijcie, a my wam zaliczymy nadpłatę. Mam uprawnienia, więc adaptowałem szeregówkę z ulicy Mieszka I. Spółdzielnia zatwierdziła ten projekt i w 1978 roku uruchomiono budowę.

Inż. architekt Elżbieta Rzeźniczek, kierownik działu inwestycji Spółdzielni Mieszkaniowej „Wspólnota”: — Z budową tą był kłopot od samego początku. Inwestycję realizowano nieprawidłowo. Wykonawca „Budostal-2” nie słuchał uwag inspektora nadzoru. Budynek podpłynął, poszerzono i powiększono.

Inż. Mieczysław Balaga: — Odpowiadam za projekt i przeprowadzone w nim zmiany.

Inż. Zygmunt Słusarek: — Jako były dyrektor „Budostalu-2” odpowiadam za wykonawstwo. Barszcz od tej budowy był bardzo daleko. Obciążony obowiązkami służbowymi i społecznymi nie miał dla niej czasu.

Prezes Bronisław Baniewski: — Wykonawca „Budostal-2” dopuścił się wykroczeń przy Grochowskiej, ale całą sprawę Barszcza wyolbrzymiono, wywołując niepotrzebną sensację.

Nie potwierdziły się zarzuty o nadzwyczajnym standardzie mieszkań (część urzędzeń nadaje się już do wymiany), o krótkim terminie budowy, o specjalnych maszynach budowlanych (użyto małego wyciągu do podawania cegieł), o zamknięciu Grochowskiej dla ruchu kołowego na czas wykonywania prac przy „palacu prezydenta” (zamknięto ją tylko na krótki okres, aby podłączyć do kolektora miejskiego).

Z wystąpienia Kazimierza Barcikowskiego: Rozliczamy się z ludźmi zgodnie z ich winą i zgodnie ze sprawiedliwością, bez zaszczuwania, czy też wyrażania zgody na zaszczuwanie ludzi na śmierć. Jeśli będziemy robili inaczej, to trzeba się będzie kiedyś tego wstydić. Myślę między innymi o sprawie Edwarda Barszcza. Dobrze znałem człowieka i znałem też sprawy, które mu zarzucano. Muszę wam powiedzieć, że ten człowiek został zaszczuty w najgorszym stylu.

Nie wyjaśnił wszystkich zagadek z życia Barszcza. Zabrakło najbardziej wiarygodnego świadka: jego relacji. Odtwarzam jego dokonania i zamierzenia, wczytując się w dokumenty świadczące o nim i wsłuchując się w wypowiedzi tych, którzy go znali, pamiętając wciąż, że najszersze chęci pragnących mówić wyłącznie prawdę zabarwione są subiektywizmem doznań i ocen.

Przeprowadzam wywiady w Warszawie i Krakowie. Rosnąciami i gromadzę dokumenty, a wśród nich odrębną rolę odgrywają wycinki z „Dziennika Polskiego”, „Echa Krakowa” i „Gazety Krakowskiej”. Odwiedziłem w Nowej Hucie „Budostal”. Dyrektorem tego przedsiębiorstwa był niegdyś Edward Barszcz. Tutaj zapisywał codzienną historię trudnego życia.

Wchodzę do biur. Szukam rozmówców. Mówią o plotkach, od nich zaczynać niemal wszystkie. O oszczerstwach rzucanych na byłego dyrektora.

Janusz Dudek, II sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR, kierownik działu zatrudnienia: — Towarzysza Barszcza miałem możliwość poznać na początku lat siedemdziesiątych, będąc członkiem ZMS w Nowej Hucie. Mimo dużego zakresu obowiązków i zaganiania zawsze potrafił znaleźć czas, aby przyjąć przedstawiciela organizacji młodzieżowej, wysłuchać uwag i propozycji. Pomagał nam niejednokrotnie finansowo.

Wiele zaangażowania wniósł w rozwój budownictwa patronackiego systemem gospodarczym. W tym zakresie wybudowaliśmy dla młodych sporo mieszkań, lagodząc w pewnym stopniu ból mieszkaniowy, jaki występował. Trzeba powiedzieć, że naczelny dyrektor przychodził do organizacji młodzieżowej. Taki dyrektor zjednoczenia to wyjątek: pytał, co słychać, czego nam potrzeba. Zachęcał do pogłębiania wiedzy, do podejmowania studiów. Opiekował się u nas studentami Politechniki Zachowywał szacunek i cześć dla dyrektora naczelnego.

Gdy skończył, zapytałem: — Jak Barszcz wypełniał obowiązki partyjne?

— Do końca należał do naszej organizacji. Regularnie płacił składki, przyjeżdżał na zebrania i uczestniczył w nich w sposób twórczy. Minął rok od chwili zaistnienia tragedii, a my coraz silniej odczuwamy jego nieobecność.

Jak ocenić postawę ludzi, którzy odmawiają spotkania? Nie chcą mówić o Barszczu ani dobrze, ani źle. Bo tak

wygodniej, nikomu się nie naraża, zresztą nie przesadzajmy, czy krótka — prawdziwa — wypowiedź może pozabawić ich czegokolwiek? Odmienność bezkompromisowej inni: odważni, bestkompromisowi, a wśród nich dr med. Józef Kusonowicz, specjalista chorób wewnętrznych, który przywitał mnie słowami:

— Przyszedłem, aby dać świadectwo prawdzie! W mojej ocenie był to człowiek prawy i skromny. Wychodzący naprzeciw ludzkim kłopotom. Kiedy zaczęła działać mu się krzywda, zbyt mało było tych, którzy zajęli takie stanowisko, na jakie zasługiwał.

Opowieści o jego bogactwie to mit i bajka. Jak na dyrektora, jak na prezydenta, jak na ministra, to nie powiem, że żył biednie (chciałbym użyć tego określenia), ale naprawdę skromnie. Nie może być mowy w przypadku Barszcza o jakimś niegodziwym dorabianiu się, o pogoni za pieniędzmi. Był pазerny tylko na robotę i to do tego stopnia, że w domu prawie go nie widziano. Z pewnością nie miał predyspozycji na dyplomata. Zadał pracy bez urzędniczego kunktatorstwa. Trzeba znać środowisko krakowskie (i nie tylko). Zadrość, zawzięć i jego dopadła. Pisał Wańkiewicz: Zadrość szwele księdzu, że nie umie mszy celebrować.

Sprzed trzydziestu lat pamięta Barszcza robotnik Wincenty Ciszewski (dzisiaj na emeryturze): — Śmierć prezydenta przeżywałem tak, jakbym utracił kogoś najbliższego. Odchodzą ci, którzy powinni pozostać.

Inż. Ludwik Bernacki, dyrektor Przedsiębiorstwa Inwestycyjno-Remontowego Przemysłu Chemicznego „Naftobudowa” w Krakowie: — Właściwie Edward nie wychodził przez blisko trzydzieści lat z gumowych butów. Bez przerwy budował. Przyjął mnie do pracy. Byłem stażystą, mistrzem budowy, inżynierem, a potem przeszedłem na samodzielną placówkę — kierownika obiektu na kompleksie wielkiego pieca, później zostałem generalnym wykonawcą. Ciągle podlegałem Barszczo. Były to czasy, w których szybko się awansowało. Pracując kilkanaście godzin na dobę, nie mógł rodzinie poświęcić tyle czasu, ile pragnął. To jest zresztą dramat nas, budowlanów.

Moje pierwsze poważne stanowisko — kierownik dużej grupy (pięsetosobowej). Pamiętam, akurat zszedłem z drugiej zmiany, około dwudziestej. O godzinie dwudziestej pierwszej zakłonił na montażu. Barszcz przebywał tam w ramach wizytacji. Posłał po mnie swojego kierowcę, sam zaś zaczął organizować usuwanie awarii. Wyciągnięto mnie z domu, gdy jadłem kolację. Po przyjeździe Barszcz przekazał mi kierowanie akcją postowania konstrukcji. Do rana poradziliśmy sobie.

Schodził z budowy po kierownika robot, ostatni. Nie zadowolili się tytułem inżyniera, a na magistra rzetelnie się natrudził, nie tak jak inni na zasadzie dzwonienia: „Powiedzieć, towarzyszu rektorze, na którym jestem roku?” Kiedy Barszcz objął funkcję dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Budowlanego „Budostal”, łapał ze mną bezpośredni kontakt (otrzymałem nominację na dyrektora „Naftobudowy”). I ja pierwszy — z udziałem Barszcza — wprowadziłem „Budostal” na Irak. Zjednoczenie ruszyło z eksportem. „Naftobudowa” dawała część montażową a Zjednoczenie — część budowlaną. Ustanowiliśmy wspólny dyrektor budowy. Potem wiele tematów eksportowych realizowaliśmy razem. Cechował go niebywały rozmach. Posiadał umiejętność kierowania dużymi zespołami i — co należy do rzadkości — potrafił znaleźć porozumienie indywidualne z każdym pracownikiem. Prowadził długie rozmowy z robotnikami, brygadziściami i mistrzami. Wszyscy zadrościli Barszczo-wi daru nawiązywania szczerego kontaktu z załogą. Robotnicy ufali mu bezgranicznie, ale i on ich nie zawodził. Czasami się spóźniał, można tę cechę potraktować jako jego słabość. To spóźnianie, na przykład na narady, brało się z tego, że on za dużo na siebie brał.

Angażował się w wielkie sprawy budów i w drobne ludzkie bolączki, załatwianie ich pochłaniało masę czasu. Sam wszystkiego doglądał, jak dobry gospodarz, ale kosztem wypoczynku i dobrej rodziny. Może on z tym osobistym doglądaniem przesadził? Jeśli wracał do domu około siedemnastej, to w rodzinie Barszczo-wi ogłaszano święto lub dzwoniło po pogotowie. Przedłużał dzień pracy do szesnastu godzin, ja biologicznie taki wysiłek wytrzymuję dziesięć, w dobrym dniu — dwanaście godzin. Pracował tak intensywnie z tych samych pobudek, co całe nasze pokolenie: byliśmy przekonani, że oddajemy w terminie ważną budowę dla kraju.

To, co zrobiliśmy, nie jest doceniane przez gniewnych trzydziestolatków. Poczekajmy jeszcze trochę, zobaczymy, co oni pozostawią po sobie.

Inż. Henryk Zaręba, były dyrektor (po Barszczu) Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego „Budostal”: — Nie znam innego dyrektora w „Budostalu”, i nie tylko w tym Zjednoczeniu, tak bardzo lubianego i szanowanego przez robotników. Wiedział o ich problemach rodzinnych, zawodowych. On służył tym ludziom. Miał dar dobierania do współpracy właścicieli ludzi i umiał z nimi, nawet w chwilach największych trudności, zgodnie współpracować. A współpraca z nim nie polegała na tym, że uderzył ręką w stół i krzyknął: „Tak musi być, bo ja jestem dyrektorem Zjednoczenia”. To nie w stylu Edwarda Barszcza.

Nasze Zjednoczenie sporo budowało dla Krakowa: domy mieszkalne, osiedla studenckie, blok operacyjny dla Akademii Medycznej, obiekty dla Akademii Rolniczej, obiekty sportowe, drogi i ulice.

W 1976 roku żarty na budowie Huty „Katowice” się skończyły. Co chwilę przyjeżdżali przedstawiciele najwyższych władz. Była komisja rządowa. Zaczęliśmy wątpić, czy uda się nam Hucie uruchomić w zaplanowanym terminie. Zapadły decyzje: na najtrudniejsze odcinki wyznaczono dyrektorów zjednoczeń lub ich zastępców. Barszcz, jako dyrektor Zjednoczenia, dostał zgniatacz z terminem uruchomienia go we wrześniu 1976 roku. Czerkowski, jego zastępca — wielki piec, a ja jako koordynator budowy — stalownię. Narzuciliśmy niezwykle tempo. Teraz różne rzeczy wypisuje się o Hucie „Katowice”, ale nie należy winić robotników i inżynierów za gigantomanie, bo oni wykazali wyjątkową odporność na trudy i duże umiejętności.

Edward na różnych szczeblach zarządzania, wybudował kilkanaście walcowni. Być może nikt w Europie, poza nim, takim wyczynem nie mógłby się poszczycić.

Kolejni rozmówcy powtarzają znane już mi fakty, wydarzenia i oceny. Barszcz miał tak duże osiągnięcia w „Budostalu”, że złapałem się na tym, iż jego postać zaczyna przybierać rysy monumentalne, pomnikowe. Zrobiłem wszystko, aby poznać jego słabości, potknięcia i nieudane decyzje. Nie mogą one jednak zmienić mojego sądu, który wyrażam w umiarkowanych (zależnych) ocenach: Dobry inżynier. Dobry organizator. Oddany załozdze i miastu.

Fragmety wywiadu Olgierda Jędrzejczyka w „Gazecie Krakowskiej”.

Olgierd Jędrzejczyk: — Jeśli miałby Pan Prezydent określić przenośnie swoje stanowisko, to wybrałby Pan jakie słowa: fotel czy krzesło prezydenckie?

Edward Barszcz: — Krzesło. Ten urząd, który spełniam, jest normalną pracą i żadnym określić na wyrost dodawać nie trzeba. Słowo urząd w ogóle oznacza — moim zdaniem — służbę społeczną.

Myślałem że będę miał dobre wejście do Urzędu Miasta. Znałem pracowników — z okazji zbierania dokumentacji do innych tematów — w kilku wydziałach. Srodcę się zawiadłem. Umawiali się wyłącznie w kawiarniach, a wiadomości przekazywali w tajemnicy, a więc nazwiska — nie do druku. Ich informacje greszyły ogólnikami Barszcza Urząd nie zaakceptował. Powody: nie znał się na procedurze urzędowania, dopiero pracownik się jej uczył; otoczył się pracownikami „Budostalu”; zwalniał zbyt pochopnie; odbywał za często podróże zagranicą.

Zaczęłam szukać ludzi, którzy zechcieliby potwierdzić wypowiedź podaniem swojego nazwiska. Najbardziej obiektywny wydał mi się sąd Krystyna Seiberta, dyrektora Biura Planowania Przestrzennego Architektury i Nadzoru Budowlanego.

— Znam takich, którzy mieli pretensje do prezydenta Barszcza, gdy ten przychodził do szacownego urzędu dopiero o godzinie dziewiątej. A ja go widziałem inaczej. To był taki człowiek, który — na wzór chłopca — pracował na okrągły zegar. Nie stawiał wyraźnej granicy: na czas pracy i wy-

Dokończenie na str. 10

ROSZADA TOWARZYSKA

TOWARZYSTWO Przyjaciół Kazimierza pragnie o wystawie w miasteczku różne znaki o treściach historycznych: popiersie z brązu w miejscu, gdzie miał zginąć w bitwie powstania listopadowego hr. Juliusz Małachowski; tablicę na ścianie budynku, w którym mieszkał malarz Jan Karmański; pomnik ku czci Kazimierza Sprawiedliwego, dobroczyńcy klasztorów w Zwierzyniecu pod Krakowem, obdarowanych przez księcia wioskami rozłożonymi m.in. w obszarze naszej dzisiejszej „perły”.

Pierwsza propozycja wydaje mi się godna uwagi, choć historycy nie są wcale tacy pewni, czy hrabia poległ właśnie w wąwozie, noszącym obecnie jego imię. Legendy jednak są na ogół trwalsze od faktów i chyba mocniej wpływają na narodową wyobraźnię, niż wymierna rzeczywistość, jakosć przecież zawsze trywialna. Dotychczasowa płyta nagrobna Małachowskiego wrosła zresztą głęboko nie tylko w ziemię, ale i w etos Kazimierza.

Tablica upamiętniająca postać Karmańskiego — naturalnie, powinna znaleźć się na Kamienicy Gdańskiej, w której artysta spędził ostatnie lata swojego życia. Pośrednio dowodzić ona będzie, że droga ludzi miejscowych do lokalnej legendy jest długa i trudna. Rzecz w tym, że o takiej tablicy myślało w Lublinie zaraz po śmierci Karmańskiego (1958 r.). Myśleli o niej koledzy artyści ze związku plastyków, myślał Wydział Kultury Prezydium WRN, ustalono nawet, kto ufunduje ów zapis pamiątkowy i kiedy nastąpi uroczyste jego odsłonięcie. Trwało to kilka lat i trudno się dziwić, że sponsorzy stracili w końcu energię i pamięć. Cwierć wieku upłynęło od tamtych czasów — czy można sobie wyobrazić lepszą okazję „na okoliczność” wmurowania tablicy?!

Pomnik Kazimierza, któremu przydomkiem Sprawiedliwy nadano dopiero kilkaset lat po jego śmierci, także będzie na czasie, albowiem w polityce państwowotwórczej władca ten respektował interesy duchowieństwa, konsultował się z biskupami podczas biesiad pałacowych, służących mu do przepytania podochoconych dostojników, świeckich również, o tak, a poza tym cenil sobie towarzystwo osobowości inteligentnych i artystycznych.

Tylko co zrobić z Kazimierzem Wielkim, za którego panowania mia-

sto powstało de iure, by w następnych wiekach budować swoją legendę w kontekście poczynan tego króla? Zapadł on głęboko we wdzięczną pamięć kazimierskich mieszczan, żywym uczuciem darzyli go artyści XIX stulecia i czasów nowszych. Oto fragment archiwalnego dokumentu z międzywojnia:

„Dnia 24.8.1932 r. w Kamienicy Celejowskiej odbyło się posiedzenie prowizorycznego Komitetu Obchodu 600-lecia koronacji Króla Kazimierza Wlk. w Kazimierzu Dolnym. Obecni: mecenas Berens, magister farm. Lichston, dyr. Nowiński, prof. Skoczylas, burmistrz Wolny, art. mal. Ziolkowski Wiktor”.

Wedle notatki, sporządzonej przez Adama Nowińskiego, postanowiono: „w pierwszych dniach lipca 1933 roku zorganizować uroczystość, na którą miałyby się złożyć Akademia z przemówieniami o epoce Kazimierzowskiej, otwarcie wystawy malarstwa pn. „50 lat malarstwa w Kaz.” w lokalu szkoły powszechnej, Uniwersytet Wakacyjny (wykłady o sztuce), Wakacyjny Kurs Rysunków dla Nauczycieli Szkół Srednich (prof. Skoczylas i Jastrzębowski), teatr ludowy, wystawa przemysłu ludowego wojew. lubelskiego”, a ponadto jeszcze jedna wystawa malarstwa i regaty na Wiśle z zabawą „Noc w Kazimierzu”.

Dodajmy, że na królewski jubileusz Antoni Michalak wystawił na rynku głównym miasteczka okazały model (bodaż w drewnie) projektowanego pomnika Kazimierza Wielkiego, który chyba się gdzieś zachował...

Uroczystościom patronowało m.in. Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza, to samo, które obecnie — oczywiście w innym składzie — lansuje księcia Sprawiedliwego jako nowego świętego miejscowości, poczynając od 1981 roku, kiedy to urządziło sesję z okazji faktycznie rzecz biorąc 800-lecia nadania wsi „kazimierskiej” klasztorowi zwierzynieckiemu, nadania w wątpliwej zresztą sposób udokumentowanego. Signum temporis.

Podobno posąg księcia wylania się już z kamienia. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak zaproponować ulokowanie obok monumentu okazałego muchomora, powiedzmy — z granitu, który byłby tzw. cienką aluzją do plotek o otruciu Sprawiedliwego podczas uczty. Prawda to, czy legenda — nieważne, prawda?!

IJK

Rod śpiewa i miłuje



RODERICK David Stewart zbliża się do czterdziestki. Mimo to wciąż czuje się i śpiewa młodo. Zanim został gwiazdą piosenek miał się różnych zajęć — stawał ploty, był grabarzem, próbował zawodowo kopać piłkę. Najbardziej jednak odpowiadała mu piosenka i przy niej pozostał, jakkolwiek rodzina i bliscy znajomi szczerze mu tego odradzali. Rod dysponował niewielkim, w dodatku schrypniętym głosem. Czy z takimi warunkami można zrobić karierę? A jednak! Z tej rzekomej wady powstał idol o wiecznie nastroszonej fryzurze. Jest dziś jednym z najlepiej zarabiających artystów.

Kiedyś recenzent „Melody Maker” napisał, że każdy, kto choć raz usłyszy głos Stewarta, ulegnie czarowi jego piosenek. O dziwo, nie ma w tym stwierdzeniu słowa przesady. Rod śpiewa doskonale, a jego chryple usiłują naśladować także panie — Bonnie Tyler czy Kim Carnes. W piosenkach Roda jest coś tak fascynującego, że trudno „przeiść” obok nich obojętnie. Może dlatego idol o wiecznie nastroszonej fryzurze jest dziś jednym z najlepiej zarabiających artystów.

Zaczynał skromnie dwadzieścia lat temu w zespole Jimmy'ego Powela — The Five Dimensions. Pierwszy szlagier nagrał dla Decca. Był to utwór z repertuaru grupy The Yardbirds — „Good Morning Little Schoolgirl”. Zagrał też pamiętne solo na harmonijce ustnej w przeboju Millie Small — „My Boy Lollipop”. Później dosyć często zmieniał współpracowników. Nabrał przy tym nowych doświadczeń. Produkował się w zespole Johna Baldry'ego — Hoochie Coochie Man, następnie Steam Packet i Shotgun Express. Po czterech latach estradowych przemyśleń związał się w 1968 roku z grupą sławnego gitarzysty Jeffa Becka. Wspólnym efektem były dwie duże płyty: „Truth” i „Beck-Ola”. Już wtedy przejawiał dużą aktywność choć tak naprawdę świadomym celem i wartości swego niepospolitego głosu wokalista okazał się w grupie Faces (powstałej na bazie Small Faces). Tu Stewart poczuł się wreszcie gwiazdorem. W ciągu sześciu lat pracy z zespołem nagrał sześć albumów, z których za najcenniejsze uważa należy „Long Player” (marzec 1971), „A Nad's As Good As Wink... To Blind Horse” (grudzień 1971) i „Ooo — la — la” (kwiecień 1973). W Faces ujawnił się też talent kompozytorski Roda. W wolnych od koncertów chwilach zaczął pracować na własne konto. W 1970 roku wydał własnym sumptem dwie znakomite melo-

dycznie i brzmieniowo płyty „An Ode to Incoast Won't Ever Let You Down” i „Gasoline Alley”. Obie ołyskawiczyły się na szczytach list bestsellerów dzięki artyście w przekonaniu, że jest mowystarczalny. Nie zamierza więc z Ronem Woodem i jego Faces Sam karierę okraszał wciąż nowymi szlagierami wypuszczanymi przede wszystkim na amerykańskim rynku. „Gasoline Alley”, „Maugie May”, „Angel”, „Sailing”, „As Dream Broken”, „Tonight's I'm Yours”, „Young Turks”, „Baby Jane” — to tylko niektóre perły z długiej listy „złotych” orzebiów Stewarta.

Wybórnie czując rhythm and bluesa i rocka, Rod nie zanął poziomu, tempa i wydajności w produkowaniu kolejnych krążków. Talent i wszechstronność muzyczna sprawiły, że nie brakowało mu wciąż świeżych pomysłów. Potrafił być romantycznie sentymentalny i agresywny, zaskakujący wrzliwością i cynizmem. Krzytycy brytyjscy stale podkreślali zręczne aranżacje piosenek Roda oraz inteligentny dobór repertuaru do produkowanych w szybkim tempie dysków. Dość powiedzieć, że w ciągu 14 lat Stewart wydał 12 solowych płyt (ostatnia „Body Wishes”). Mając do dyspozycji najlepszych muzyków zapraszanych z różnych stron świata do świetnie wyposażonego studia „Rivy” zapewniał swoim produkcjom fantastyczne brzmienie i bogatą fakturę aranżacyjną. Jeśli dodamy do tego ekspresję, z jaką Rod śpiewa na co dzień, zrozumieemy, skąd biorą się jego sukcesy, święcone pod różnymi szerokościami geograficznymi.

Dbając o własną popularność, Rod dostarcza nieustannie prasie nowych szczegółów ze swego niezwykle bogatego życiorysu, dotyczących zwłaszcza jego podbojów miłosnych. Włóczęga reporterzy (nie bez wiedzy jego impresaria) potrafią wtropić gwiazdora w towarzystwie wciąż nowej i bardzo uroczej towarzyski. Ponoć nadal nie rezygnuje z podbojów: jest wszakże milionerem i stać go na takie wsty tak choćby wypłata byłej żonie Britt Eckland, 15 milionów dolarów zadośćuczynienia.

Istvan Grabowski

PS. W trakcie przygotowywania tego tekstu do druku ukazał się najnowszy, bardzo udany album Roda Stewarta zatytułowany „CAMOUFLAGE”. Wydawał go amerykańska wytwórnia płytowa „Warner Bros”.

Rozmyślania o literaturze

Dokończenie ze str. 7

Przechodząc ściśle do pani pytania: szczególne miejsce w tej tradycji zajmuje Anna Seghers i mój stosunek do jej dzieła. Wśród niemieckich pisarzy z przeszłości na szczególną uwagę zasługują Büchner i Kleist jako prozaicy, T. Mann. Potem był przez jakiś czas Aragon, Thomas Wolfe. Południowi Amerykanie. Bardzo ważny był dla mnie taki autor jak Bulhakov: „Mistrz i Małgorzata”, Tolstoj, Dostojewski: „Bracia Karamazow”. Czy to się układa w jakąś „linię tradycji”? [...]

Ostatnimi laty uważam za ważną tradycję pisarstwa kobiecego. Wyartykułowałam ją — to temat przyszłości, w esejach do „Kasandry” poczyniłam już próby. Wymienię tylko niektóre nazwiska: Ingeborg Bachmann, Virginia Woolf, Marie-Luise Fleisser.

REDAKCJA: W międzyczasie w NRD ukazało się więcej niż milion Pani książek, same „Wzorce dzieł” będą miały w lutym swe dziewiąte wydanie. Pani utwory przekładano na 20 języków, ukazują się one (opócz krajów socjalistycznych i niemieckiego obszaru językowego) m.in. w USA, Japonii, Francji, we Włoszech i w krajach skandynawskich. Jest nani ważna przedstawicielka literatury NRD. Jak to pani od-

czuwa? Czy nie musi pani w państwach niesocjalistycznych zaczynać od wyjaśnienia o kraju, zanim pojawią się problemy samej literatury? ...

Ch. Wolf: To dwa odrębne pytania. Zauważyłam u siebie, że najczęściej nie pozuję na „przedstawicielkę” czegoś tam, lecz przedstawiam samą siebie — a więc nie jestem też „przedstawicielką” samej siebie. Jest to sprawa mojej historii, moich doświadczeń i zapamiętań. I dziś sprawa ma się inaczej, autor z NRD nie musi za granicą „wyjaśniać” swego państwa — przeżyłam to silnie w latach sześćdziesiątych. Dziś, tak mi się wydaje, zwraca się dokładniejszą uwagę w dyskusjach na podteksty, w których bardziej niż w deklaracjach dochodzi do głosu inne ukształtowanie...

REDAKCJA: Pani inne ukształtowanie?

Ch. Wolf: Inne ukształtowanie moich struktur myślowych (Denkstrukturen), moich poglądów. Zrozumiałam to w USA, a szczególnie na spotkaniach z kobietami, którym w większości niełatwo przebić ślepy punkt, przelamać mit, jaki ich społeczeństwo ukuło o sobie na własne potrzeby. Tam stawiane są dociekliwe

pytania i odpowiedzi na nie świadczą o innym podłożu społecznym, z którego się przychodzi.

Z drugiej strony, gdy wracam do domu, mam również „nowe spojrzenie”. Wtedy widzę ostrze nasze własne „ślepe punkty”, mechanizmy te zauważam mocniej. Co zauważamy u siebie, a czego nie? Myślę że literatura jest także po to, by zniżyć te „ślepe miejsca”, ujawniać je. A to nigdzie nie przychodzi łatwo. [...]

REDAKCJA: Przy całym respedce wobec pani, nie należy pani do tych autorów, którzy ułatwiałby sprawę swym czytelnikom. Swoje myśli odkrywa pani tylko przed tymi, którzy gotowi są przejść przygodę myślową, jaka pani przeżyła w trakcie pisania. Pomimo to — a może właśnie dlatego? — pani książki osiągają wysokie nakłady. Jakże są pani doświadczenia z naszymi czytelnikami? Jak rasza publiczność literacka reaguje na stawiane jej wymagania?

Ch. Wolf: Autor, który przez lata zajmuje się pewnym materiałem, dochodzi w końcu — bo przecież musi doń dojść — do takiego punktu, że swobodnie nad nim panuje. Nie może tego oczekiwać od czytelników, zwłaszcza wtedy, gdy (jak w przypadku „Kasandry” czy „Ni miejsca na zie-

mi”) uwzględni wiadomości o przeszłych epokach. Wykłady do „Kasandry” są chyba pewną pomocą. Już pierwsza moja książka „Niebo podzielone”, wywołała zarzut: za trudna! Mało wytrawni czytelnicy napotkają zbyt trudne środki literackie. A teraz czytają ją bez trudności szesnastolatki. [...]

Gdy ktoś mi dziś stawia pytanie: dla kogo piszę, odpowiadam: dla czytelnika. To znaczy dla ludzi, którzy potrzebują literatury jako instrumentu uzupełniania swych doświadczeń. Nie — czytelników przeobrazić w czytelników na pewno mi się nie uda. Czasem zdarza mi się, że ktoś określa moją książkę jako zbyt trudną, którą on wprawdzie zrozumiał ale „prosty czytelnik”. Gdy ci „prości czytelnicy” idą w setki tysięcy — jestem całkiem zadowolona. A na koniec: nie spotkałam dotąd tak liczącej, wymagającej i wdzięcznej publiczności jak w NRD!

Przełożyła:
Halina Ludorowska

Tłumaczenie na j. polski według wydania Brigitte Zimmermann i Ursuli Fröhlich z Christa Wolf o „Das starke Gefühl, gebraucht zu werden” (w: „WOCHEPOST”, nr 6 z dn. 18.02.1984, s. 14-15) Polski tytuł i skróty zapoznane kłarami.

czad. 2552/1984/21

Z teki Szymona Kobylińskiego



— Przywróciście już wiarygodność, Marniuś, czy jeszcze wam co zostało?



— ... i dlatego mam zawsze rację. Bez odbioru.

Archiwum mistrzów anegdoty

Mark Twain, będąc redaktorem lokalnej gazety w Missouri, otrzymał pewnego dnia list od kupca: „Czytając pańską gazetę znalazłem między stronami olbrzymiego pająka. Proszę mi wyjaśnić, czy przyniesie mi to szczęście?” Twain odpowiedział: „Znalazienie pająka nie oznacza. Po prostu przeglądał on strony gazety, by zobaczyć, kto z kupców nie ogłasza się w naszym piśmie. Szukał bowiem sklepu, w którym mógłby na drzewach wesołowych rozwiesić pajęczynę i żyć spokojnie”.

Znakomity malarz koni, Juliusz Kossak, znany był ze swych licznych podbojów miłosnych. Będąc, swego czasu w majątku Scibor-Rylskich w Uhrynowie, poznał niezwyklej urody żonę pewnego dygnitarza z Wiednia. Zachęcony przychylnym potraktowaniem umizgów Kossak zaproponował damie, że namaluje jej portret. Na co oburzona piękność zawołała: — Cóż to, uważasz mnie pan za ogiera? — Ach, wręcz przeciwnie — krzyknął rozpaczony artysta.

Obrażona jednak dama opuściła niezwłocznie Uhrynów.

Bernard Shaw otrzymał kiedyś list od producenta filmowego, który zwrócił się z propozycją sfilmowania jednej z jego sztuk teatralnych. „Sądźmy — pisał producent — że będzie pan miał na względzie fakt, iż nie możemy sobie pozwolić na wygórowane honorarium, gdyż jesteśmy młodym towarzystwem”. Shaw odpisał: — Poczekam aż dorośniecie.

Pewnego razu wciśbiska dama zapytała znakomitego poetę fran-

cuskiego Richepina, który mimo podeszłego wieku trzymał się doskonale:

— Wybacz mistrzu, jestem może niedyskretna... ale czy to prawda, że operował pana doktor Woronow?

— Prawda, moja pani — odrzekł Richepin.

A po chwili, uderzając się dumnie w szeroką pierś, dorzucił:

— Ale to ja byłem małpą!

Kiedy Verdi ukończył „Trubadura”, zaprosił jednego z przyjaciół, wybitnego krytyka, i zapoznał go z kilkoma ważniejszymi partiami opery.

— Co pan o tym myśli? — zapytał.

— Jeżeli mam być szczerzy, wszystko to przedstawia się dość niewyraźnie.

W tej chwili Verdi rzucił mu się na szyję i gorąco uściskał.

— Dziękuję — zawołał. — Uratował mnie pan! Jeżeli utwór nie podoba się panu, jestem przekonany, że będzie miał wielkie powodzenie u publiczności.

Nadzieje Verdiego spełniły się całkowicie.

Wysperzał:
Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 21 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejscu liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie: fragment prozy autora, którego imię i nazwisko oraz tytuł powieści — źródła cytowanego tekstu utworzą pierwsze litery 20 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

- 1. słodki owoc — 148, 31, 8, 14, 42, 16,
- 2. wybór — 149, 58, 49, 33, 103, 104, 67,
- 3. średniowieczny śpiewak i aktor wędrowny — 19, 197, 85, 45, 62, 26,
- 4. pokład kopalni — 39, 44, 168, 12, 22,
- 5. pierwszy amerykański park narodowy — 81, 59, 10, 55, 9, 29, 21, 123, 63, 162, 122,
- 6. pastylka, proszek — 17, 85, 161, 125, 57, 145, 118,
- 7. rzeka wpada do innej rzeki — 5, 109, 160, 110, 91, 71,
- 8. kra hejnał — 1, 171, 20, 148, 112, 38, 75,
- 9. konieczny przy dacie — 2, 142, 129, 137, 90,
- 10. zorojownia — 12, 131, 66, 103, 119, 73, 97,
- 11. temat melodramatu — 30, 163, 138, 7, 54, 94,
- 12. eposcja Wergiliusza — 11, 72, 35, 48, 82, 106,
- 13. odrzuca wszelkie przyjęte normy — 37, 5, 111, 34, 68, 86, 173, 52,
- 14. po Oktawianie, a przed Kaligulą — 23, 135, 117, 83, 32, 139, 114, 74, 133,
- 15. pieczęcią — 84, 124, 80, 127, 83, 158,
- 16. środek spożywczy bogaty w dany składnik — 15, 101, 80, 173, 163, 124, 41,
- 17. powieść Sienkiewicza — 36, 128, 84, 96,
- 18. flora czyli owoce, warzywa itp. — 79, 65, 46, 82, 159, 153, 53,
- 19. figura na łyżwach lub rowerze — 26, 134, 89, 174, 150, 18,
- 20. miasto Priama — 40, 126, 132, 156, 144,
- 21. państwo na wyspach — 77, 78, 115, 98, 102, 70, 120,
- 22. rozbraja go saper — 87, 37, 25, 121, 139, 50, 93, 107,
- 23. dramat Wyspiańskiego — 43, 100, 140, 76, 169, 108,
- 24. dopływ Dunaju w Czechosłowacji — 69, 61, 4,
- 25. miasto wojewódzkie — 136, 141, 113, 56,
- 26. stopień wojskowy — 24, 157, 143, 31, 27,
- 27. ciecz — 152, 155, 147, 166,
- 28. dziury w drodze — 8, 116, 170, 151, 90, 164.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 15 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Miłość i wojna, oto temat znakomity (...) od Homera poczynając. A gdyby ten grecki poeta napisał, że toczono walki nie o Helenę Trojańską, lecz o dostęp do Morza Czarnego, jakże by płaski stał się ówczesny świat.

Lesław M. Bartelski
KRWAWE SKRZYDŁA

Nagrode otrzymuje Tadeusz Jarząbski, ul. Czarna 3, 15-395 Białystok.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9		10	11	12	13	14
15		16		17	18	19	20	21	22	23		24	25	26	27
28	29			30	31	32	33	34	35	36	37	38	39		40
41	42		43	44	45	46	47	48	49		50	51	52	53	54
55	56	57		58	59	60	61	62	63			64	65		66
67	68	69	70	71		72	73	74	75	76	77		78	79	80
81	82	83	84	85	86		87	88	89		90	91	92	93	94
	95	96	97	98		99	100	101	102	103	104		105	106	107
108	109		110	111	112	113	114	115	116		117	118		119	120
121	122	123		124	125	126	127	128	129	130		131	132	133	134
135	136	137	138	139		140	141	142		143	144	145	146	147	
148	149		150	151	152	153	154	155		156	157	158	159	160	
161	162	163	164	165	166	167		168	169	170	171	172	173	174	

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego) Ireneusz Z. Kamiński (kierownik działu publicystycznego). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych — zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-16. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze BSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 553-30. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 6. Adres redakcji: 20-629 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/L. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 553-93, sekretarz redakcji 518-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje szybko prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.